

Rok XXXV

Nr e-174 (370)

Kwiecień 2021

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



SPIS TREŚCI – KWIECIEŃ 2021

Z NASZEGO REGIONU

Szeroka i Malinowa – sowiogórskie „rywalki”	<i>Bartosz Skowroński</i>	3
Jastrzębia Turnia	<i>Krzysztof Gdula</i>	6
Chorągiewka na dachu	<i>Witold Komorowski</i>	9
CYTAT MIESIĄCA	<i>Juliusz Wysłouch</i>	5

OJCZYSTE SZLAKI

Pustelnia szczyrzycka z diabelskim rodowodem	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	13
Najcięższe podejścia w polskich Beskidach.		
Część 3 – Beskid Makowski	<i>Sebastian Jakobschy</i>	16
Krynica, czyli źródło odnowy ciała i ducha	<i>Tomasz Kowalik</i>	18

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

Nowe mody i stare błędy	<i>Juliusz Wysłouch</i>	20
-------------------------	-------------------------	----

GLOBTROTER

Niagara? Obowiązkowo! (2)	<i>Miroslaw J. Barański</i>	22
Šomoška – średniowieczna warownia na bazaltowym neku	<i>Krzysztof Miraj</i>	25

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Cecylka zaprasza do Rawicza	<i>Sławomir Chojnacki</i>	28
Za nami Żabnica, przed nami Zawoja	<i>Juliusz Wysłouch</i>	31
Skarby z Pracowni (3)	<i>Krzysztof Tęcza</i>	33

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Maurycy Beniowski	<i>Janusz Fuksa</i>	34
Stanisław Noakowski (1867-1928)	<i>Tomasz Kowalik</i>	37

LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

Mapa prawdę ci powie... ale nie zawsze	<i>Juliusz Wysłouch</i>	39
--	-------------------------	----

RECENZJE I NOWOŚCI

Nowość Wydawnictwa Poznańskiego		40
---------------------------------	--	----

**Na okładce: Aniołek na szczycie wieży drewnianego kościółka pw Św. Jana Nepomucena
w Parku Szczytnickim we Wrocławiu. Fot. Witold Komorowski**

Szeroka i Malinowa – sowiogórskie „rywalki”

Położone w południowej części Gór Sowich szczyty Szeroka (826 m n.p.m.) i Malinowa (839 m n.p.m.) na przestrzeni lat „rywalizowały” ze sobą. Czym „rywalizowały”? Odpowiedź jest krótka – wysokością w metrach nad poziomem morza, która była przypisywana do nich. Przez wiele lat, także sporo przed 1945 r., to góra nosząca współcześnie nazwę Szeroka była często (ale nie zawsze) uznawana za wyższą od tej zwanej obecnie Malinową. Padło, że nie zawsze – bo czasami to jednak właśnie góra zwana współcześnie Malinową, a przed 1945 r. określana m.in. jako Hohe Stein, już przed tym rokiem uchodziła bodaj za wyższą od Szerokiej, zwanej wtedy Schmiedehau. Nie było więc chyba wówczas pełnej zgodności co do tego, która z nich jest wyższa. Również po 1945 r. – już jako polskim szczytom górskim – przypisywano im często takie wysokości, że to Szeroka była uznawana za wyższą od Malinowej. Mało tego – ta pierwsza uchodziła nawet niegdyś za najwyższą w tamtej części Gór Sowich. W zdecydowanej większości przejranych przeze mnie opracowań to właśnie polska już Szeroka miała na przestrzeni lat w zasadzie palmę pierwszeństwa – uchodziła za wyższą od Malinowej. W zasadzie – bywały bowiem od tej reguły wyjątki, a wtedy wiadomo... Malinowa „wygrywała” jako wyższa w tej wysokościowej „rywalizacji”. Jeszcze na początku lat 90. XX w. wysokość przypisywana do Szerokiej dawała jej niekiedy „pierwsze miejsce” w południowej części Gór Sowich. W obecnej epoce jednak to Malinowa uznawana jest za wyższą, a także za najwyższą w tymże fragmencie tego środkowosudeckiego mezoregionu.

Niezależnie od tej „rywalizacji” na obie góry od lat wędrowano. Mniej lub więcej osób zaglądało w tę część Gór Sowich, ale zaglądało... no i zagląda. Od dawna przez partie wierzchołkowe obu tytułowych gór wiedzie czerwony Główny Szlak Sudecki im. dr. Mieczysława Orłowicza. Ich zboczami biegnie z kolei niebieski szlak będący fragmentem szlaku E3. Obie góry mogą więc „poszczycić się” tym, iż wiodą tam odcinki dwóch długodystansowych górskich pieszych szlaków turystycznych. Interesującym – z punktu widzenia przebiegu tych szlaków – miejscem pomiędzy Szeroką i Malinową jest Przełęcz pod Szeroką (741 m n.p.m.). Tak się bowiem składa, że właśnie tam stykają się one ze sobą. Stykają i zaraz też każdy wiedzie dalej inaczej. Czerwony – jak wspomniano – prowadzi bowiem przez partie wierzchołkowe tytułowych gór, natomiast niebieski ich zboczami. Swoją drogą – to niejedyny punkt styku tych szlaków w tej części Gór Sowich.

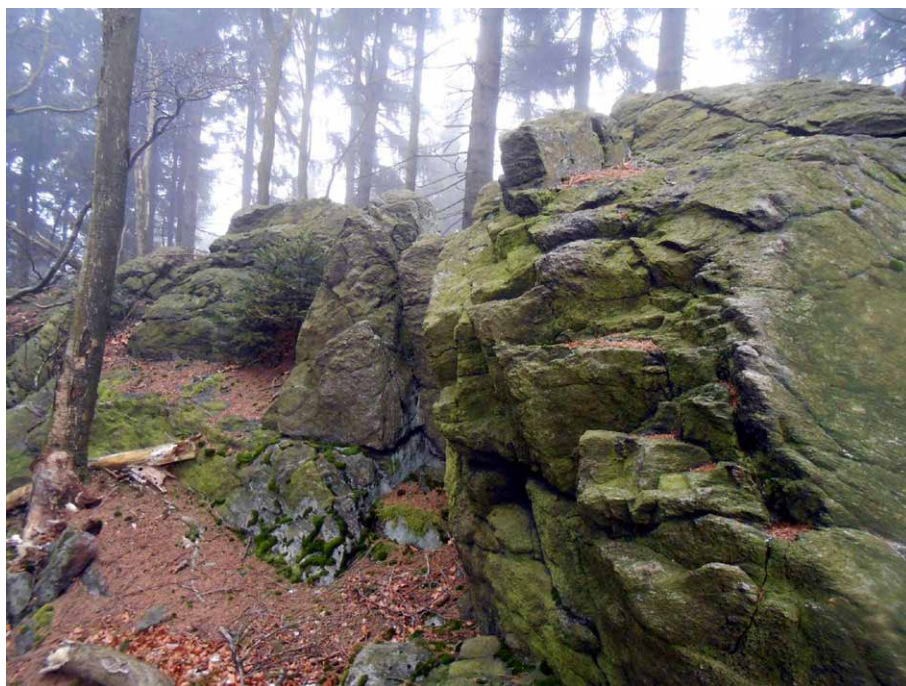
Odcinki wspomnianych szlaków w rejonie Szerokiej i Malinowej są atrakcyjne – choć oczywiście... zależy dla kogo. Bardzo znanych i popularnych miejsc na nich tam nie ma. Dla osób chcących odbyć jednak interesującą z krajoznawczego punktu widzenia wycieczkę górską na pewno są one godne polecenia.

Dogodnym punktem do rozpoczęcia górskiej wycieczki na Szeroką i Malinową jest Woliborska Przełęcz (711 m n.p.m.), częściej określana jednak jako Przełęcz Woliborska. Przez tę właśnie przełęcz wiedzie szosa łącząca m.in. Jodłownik z Woliborzem, stąd zmotoryzowani mogą



Jeden z kamiennych słupków w partiach wierzchołkowych grzbietu z Szeroką

na Przełęcz Woliborską dojechać tą drogą samochodem. Dodać warto, że na wspomnianej ostatnio przełęczy znajduje się miejsce postoju pojazdów. Z Przełęczy Woliborskiej można dla przykładu powędrować czerwonym szlakiem przez Szeroką i Malinową do styku tego szlaku z zielonym szlakiem. Następnie szlakiem zielonym dojść do jego skrzyżowania ze wspomnianym niebieskim szlakiem, aby tym ostatnim powrócić na Przełęcz Woliborską. Bardzo to przyjemna wycieczka górską – jest trochę podejść, trochę zejść, tu i ówdzie można liczyć na jakieś widoki. Polecam w szczególności widok, jaki zoczyć można z nieporośniętego wspólnie wysokopiennym lasem odcinka niebieskiego szlaku na zboczu grzbietu z Szeroką – z rejonu ambony myśliwskiej już sporo nad wymienioną ostatnio przełęczą. Dostrzegalna stamtąd leśna gęstwina krańca Gór Sowich z doskonale rzucającą się w oczy Czeszką (742 m n.p.m.) oraz fragment Przedgórze Sudeckiego w głębi – to „obrazek”, który może sprawić przyjemność miłośnikom górskich panoram. A jak napomknięto, to niejedynie widokowe miejsca na odcinkach wspomnianych szlaków czerwonego i niebieskiego, chociaż – co trzeba jasno powiedzieć – takich superwidokowych nie ma na nich zbyt wiele. Wędruje się po prostu przez górskie lasy zaliczane do regła dolnego.



Fragment Wysokich Skałek

Nie tylko jednak widoki mogą być zachętą do wyruszenia na wycieczkę tymi szlakami w rejonie tytułowych gór. Osoby pasjonujące się oglądaniem kamiennych słupków także powinny być zadowolone. Takie obiekty znajdują się bowiem tutaj. Można je zobaczyć w partiach wierzchołkowych grzbietu z Szeroką, jak również na ciągnącej się w stronę Przełęczy pod Szeroką odnodze grzbietu odchodzącego od Malinowej. Ładny słupek jest też na zboczu tej ostatniej. I to wszystko przy ścieżce, którą wiedzie wspomniany czerwony szlak. A gratką może być dla wielu to, iż nawet wspólnie da się odczytać wydrążone na tychże słupkach numery.

Na wierzchołku Malinowej znajduje się natomiast znak pomiarowy ze stosownym napisem. Z kolei nieco pod jej wierzchołkiem, na zboczu, poza ścieżką, którą wiedzie czerwony szlak, znajdują się Wysockie Skałki. Te gnejsowe formacje tworzą tam – bardzo ładną i stromo opadającą (uwaga!) – grzędę skalną. Mimo że – jak wspomniano – leżą one już poza ścieżką, którą prowadzi czerwony szlak, da się z niej fragment tej grzędy dostrzec. Jak rozpoznać to miejsce? Otóż idąc czerwonym szlakiem od strony Przełęczy pod Szeroką w kierunku Malinowej osiąga się najpierw partię wierzchołkową bezimiennej góry (764 m n.p.m.) – na wspomnianej odnodze grzbietu odchodzącego od Malinowej. Z rejonu

Na wierzchołku Malinowej znajduje się natomiast znak pomiarowy ze stosownym napisem. Z kolei nieco pod jej wierzchołkiem, na zboczu, poza ścieżką, którą wiedzie czerwony szlak, znajdują się Wysockie Skałki. Te gnejsowe formacje tworzą tam – bardzo ładną i stromo opadającą (uwaga!) – grzędę skalną. Mimo że – jak wspomniano – leżą one już poza ścieżką, którą prowadzi czerwony szlak, da się z niej fragment tej grzędy dostrzec. Jak rozpoznać to miejsce? Otóż idąc czerwonym szlakiem od strony Przełęczy pod Szeroką w kierunku Malinowej osiąga się najpierw partię wierzchołkową bezimiennej góry (764 m n.p.m.) – na wspomnianej odnodze grzbietu odchodzącego od Malinowej. Z rejonu



Znak i drogowskazy zielonego szlaku przy wymienionym w tekście jego skrzyżowaniu z niebieskim szlakiem

wierzchołka wspomnianej bezimiennej góry szlak schodzi do niewielkiej przełęczy, za którą ponownie prowadzi do góry, wspinając się po odnodze Malinowej. W pewnym momencie z lewej – patrząc od strony Przełęczy pod Szeroką – otwierają się ograniczone widoki na tutejszy kraniec Sudetów Środkowych (Gór Sowich) i fragment Przedgórze Sudeckiego. Zaraz też ze ścieżki zza drzew po prawej (patrząc od strony Przełęczy pod Szeroką) widać już zarys grzędy Wysokich Skałek. Nieco dalej ścieżka, którą biegnie szlak, doprowadza do miejsca, gdzie wysokopienny las jest nieco przerzedzony.

Wysokie Skałki to niejedynie formacje skalne na zboczu Malinowej. Inne – ukryte nieco za drzewami – znajdują się powyżej drogi, którą wiedzie niebieski szlak, dość blisko jego skrzyżowania ze wspomnianym szlakiem zielonym.

Jeszcze inna wychodnia skalna znajduje się z kolei przy samej drodze, którą wiedzie niebieski szlak, tyle że na zboczu Szerokiej – na wysokości ok. 760 m n.p.m. Pod koniec XIX w. w tym rejonie znajdować się miała jakaś budowla. Miejsce to (czy też owa budowla?) określane miało być jako Blockhaus. Już w latach 30. XX w. miało ono nie istnieć, a przynajmniej nie zauważyłem jego sygnatury na przejranych mapach z tego okresu. Współcześnie, patrząc z leśnej drogi, którą wiedzie szlak, mającej w pobliżu charakterystyczny zakręt, trudno uwierzyć, że niegdyś stała tu jakaś budowla.

Na koniec tego tekstu dodam jeszcze, że wierzchołki Szerokiej i Malinowej mogą zainteresować osoby, które na górskich wycieczkach cenią sobie możliwość zobaczenia tabliczek z nazwą góry, na jaką dane było im wejść. Takowe tabliczki przymocowane są bowiem do drzew – tak na wierzchołku jednej jak i drugiej z tytułowych gór. Z samych wierzchołków tych gór nie zobaczymy żadnych dalekich panoram. Na każdej z nich zerknąć można natomiast właśnie na wspomniane tabliczki. Na tej przymocowanej do drzewa na Szerokiej napisane jest m.in. „Szeroka 827 m n.p.m.”, natomiast na tabliczce znajdującej się na Malinowej figuruje m.in. napis „Malinowa 835 m n.p.m.”. „Zaliczając” wierzchołki obu tych gór, także po lekturze tekstów znajdujących się tam tabliczek, nie będziemy mieli chyba wątpliwości, która z gór „zwyciężyła” w tej wysokościowej „rywalizacji”.

Bartosz Skowroński

CYTAT MIESIĄCA

To góry i to góry

W wiadomość jak wiadomość: (14.03.2021). *W Białym Jarze w Karkonoszach zeszła lawina. Nie wiadomo, czy ktoś znajduje się pod śniegiem. Trwa akcja ratunkowa GOPR. – Trwa akcja lawinowa. Mamy tam zadysponowane siły i środki. Nie mamy potwierdzonych informacji, czy jest ktoś zasypany – powiedział ratownik, dodając, że GOPR współpracuje z czeską Horską Zachranną Służbą.*

No i w porządku. Tym razem antybohaterem w tej informacji jest tzw. zdjęcie ilustracyjne. Wiadomość o lawinie w Karkonoszach jest ilustrowane pięknym skądinąd zdjęciem z Tatr Zachodnich. Zdjęcie zostało wydobyte z archiwum PAP a dołączone do notatki chyba na zasadzie „to góry i to góry”. Praktyka używania tzw. zdjęć ilustracyjnych mających niewielki związek z meritum informacji jest tak powszechna, że aż żenująca. W moim mieście, w lokalnym portalu informacyjnym wiadomości z pewnego osiedla za każdym razem, gdzieś od trzech lat, są ilustrowane jednym zdjęciem. „Wicie kulego, deście tam coś z tego Jaru”. W wielu informacjach o konkretnym wydarzeniu w górach też autorzy wlepiają byle co, byle na zdjęciu były jakieś góry.

W poprzedniej informacji o lawinie w Karkonoszach (15.02) notka ilustrowana jest zdjęciem toprowskiego helikoptera Sokół na tej samej zasadzie: „deście coś tam...”. Czy to jest rzetelne dziennikarstwo? Pytam, bo są to materiały zamieszczane na stronie internetowej czołowego kanału telewizji publicznej.

Juliusz Wystouch

Jastrzębia Turnia

Nie obyło się bez oglądania mapy i rozglądania się wokół w poszukiwaniu nieoznakowanej ścieżki, zwłaszcza że obaj spodziewaliśmy się początku w różnych miejscach, w końcu pociągnąłem Janka w stronę tej biegnącej w lewo. Mapa obiecała w miarę poziomy szlak, a ślad między drzewami biegł pod górę, miałem jednak nadzieję na wyrównanie za najbliższym grzbieciem.

Trawersu jednak nie było: ścieżka wznosiła się i opadała, omijała ogrodzone fragmenty lasu, znikwała i pojawiała się, nawet nie wiedzieliśmy czy ta sama. Nieco wyżej ze stromych zboczy góry wystąpiły pokaźne i liczne skały – częsty widok w tych górach. Jeśli nie liczyć dzięcioła popisującego się sprawnością kucia przed swoją panią in spe, byliśmy sami – rzadkość w tych górach. W końcu ścieżka doprowadziła nas pod skały z dwiema niewielkimi grotami. Po przerwie ruszyliśmy dalej niewyraźną ścieżką, jedną z paru widocznych, ale ogólnego kierunku nie zgubiliśmy, bo w kilka minut później dokładnie przed nami zamajaczyła między drzewami skała wyższa i większa od innych.

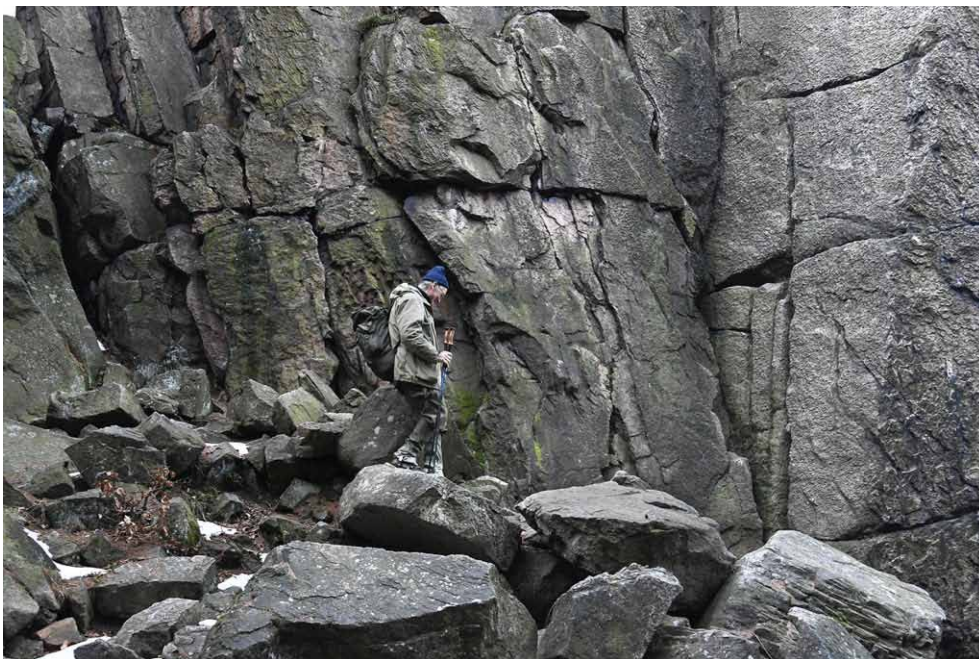
Nową dla nas trasą doszliśmy do Jastrzębiej Turni na Krzyżnej Górze w Górach Sokolich.

* * *

Jeszcze w sobotni wieczór zapowiadano mglisty dzień, a ja oczyma wyobraźni już widziałem górski las we mgle i z niej wyłaniające się skały – urokliwy obraz. Wszak wiadomo, że lasom i skałom mgła, oby nie skrajnie gęsta, dodaje uroku. W drodze widzieliśmy gwiazdy, a gdy byliśmy pod Bolkowem, pół godziny od celu podróży, zobaczyliśmy zarysy dalekich gór wyłaniających się z ciemności – bez śladu mgły.

Piękna, ciepła i słoneczna aura ściągnęła tam mnóstwo ludzi. Byliśmy sami, tylko będąc dalej od szlaków: gdy nieoznaczoną ścieżką szliśmy do Jastrzębiej Turni i później, gdy kamienistym bezdrożem obchodziliśmy Krzywą Turnię.

Pierwszy raz nie cieszyłem się słońcem, a nawet, niech mi Helios wybaczy, jakbym czuł odrobinę zawodu. Miało być tak tajemniczo, nastrojowo i cicho w mglistym lesie, a mijaliśmy „turystów” w butelkami piwa w ręku, całe rodziny z wózkami, grupy rozgadanych młodych idących szlakami, zawieszonych na skałach lub jadących rowerami. Poza tymi pierwszymi, którzy butelki wyrzucą po opróżnieniu, do pozostałych nic nie mam, przecież oni, tak jak i my, przyjechali tutaj odpocząć po tygodniu pracy, jednak zbyt przywykłem do



Autor pod Jastrzębią Turnią



Wspinacze pod szczytem Sokolika

ciszy i samotności w moich górach. Kolega opowiedział mi o filmie nagrany przez jakiegoś znanego youtubera, który będąc w Górach Kaczawskich stwierdził, że tam właściwie nic nie ma. Odczułem zadowolenie i satysfakcję niepozbanioną mściwością; niech więcej ludzi tak mówi. Co prawda wielu straci, ale status quo moich gór zostanie zachowany.

Czasami utrwała się w nas i tkwi przez lata obraz kogoś lub czegoś, a nierzadko jest na tyle zwykły, że obiektywnie patrząc, można by się dziwić naszemu pamiętaniu.

Jednak pojawia się, wyraźny i piękny, nasycony emocjami, gdy tęsknimy lub gdy brakuje nam bliskości tej osoby, miejsca, rzeczy. W pewnej mierze dotyczy to także twórców natury, a jednym z obrazów tej kategorii jest u mnie widok Jastrzębiej Turni widzianej spod szczytu Krzyżnej Góry. Stamtąd ta skała wydaje się smukła, strzelista, niezupełnie podlegająca prawu ciężenia, wprost zrywająca się do lotu. Moja przygoda z tą najbardziej znaną skałą Gór Sokolich zaczęła się kilka lat temu od zobaczenia w Internecie jej pięknego zdjęcia. Patrzyłem na nią z przyjemnością, zazdroszcząc widoku fotografowi.

Później skałę widziałem parę razy ze szczytu, a ponad trzy lata temu zobaczyłem ją z bliska, po odszukaniu jej na zboczu góry. Dzisiaj wróciłem.

Turnia oglądana od podstawy traci swoją zwiewność, ową gotowość do lotu, ale wrażenie nadal robi. Zbudowana jest z bloków skał osadowych (przynajmniej częściowo, bo wydaje mi się, że nie jest jednorodna), a pionowe ustawienie ich warstw dowodzi zaistnienia dawno temu kataklizmu tworzącego obecny stan Turni. Skały stoją odwrócone o 90 stopni, a to znaczy, że kiedyś wielkie bloki skalne zostały uniesione ruchami górotwórczymi, a może oderwały się od masywu i zsuwając się po zboczu, zatrzymały niżej, przekręcone. Na bliźniaczej górze, czyli na Sokoliku jest Krzywa Turnia – nachylona, ze sporym przewieszeniem, wysoka skała; powstała zapewne w podobny sposób.

U podnóża Jastrzębiej Turni wrażenie chwiejnego rumowiska jest nieodparte. Wystarczy spojrzeć na kamień zaklinowany między dwoma sąsiednimi blokami i na szczelinę pęknięcia między nimi albo na zbocze pokryte odłamkami i większymi blokami odpadłymi od spękanych ścian skalnych.

Tam wyraźnie widać chwilowy stan tych skał. One nie zamarły na zawsze, one w ogóle nie zamarły, a nadal zmieniają swoje kształty i usytuowania, tylko długość, raczej krótkość naszego życia nie pozwala widzieć ciągłości tych powolnych metamorfoz.

Wiem, że skały tworzące Jastrzębią Turnię nigdy nie zerwą się do lotu wzorem ptaków, a jedyny ich lot będzie ku ziemi, ale ta wiedza jest milcząca, gdy patrzę na szczyt Turni i myślę o jastrzębim locie ku słońcu.



Skały Krzyżnej Góry



Jastrzębia Turnia

* * *

Do samochodu doszliśmy o szesnastej, niemal półtorej godziny przed zachodem słońca. Mój towarzysz zapytał, co zrobimy z resztą dnia, a mnie od razu przyszło na myśl miejsce w moich górach, z którego widać wschód i zachód słońca oraz całą linię Karkonoszy, oczywiście Sokoliki też. Dwadzieścia minut później byliśmy już pod Przełęczą Komarnicką, a kilometr dalej był nasz cel – zbocze Barańca.



Dbicie słońca w oknie obserwatorium na Śnieżce

Wielka ściana Karkonoszy i bliższe góry Rudaw, a widać stamtąd niemal wszystkie, ciemniały już, coraz bardziej granatowe, ale przyprószone delikatnie pomarańczowym pyłem zachodu. Słońce minęło Szrenicę i chyląc się ku odległej linii Gór Izerskich, wylewało na góry wokół Szklarskiej Poręby potoki jasnego jeszcze światła, ale już nasyconego ciepłymi barwami. Przeciwna strona widnokregu, wschodnia, miała skrajnie odmienne barwy – zimne, ostre, czarne i granatowe, a na wprost, na szczycie Śnieżki, świeciło słońce odbite od okna obserwatorium – widok zawsze przyciągający wzrok.

Z tego miejsca na zboczu góry kilka już razy oglądałem wschód słońca, a widać go najdalszym, z maleńką kulą światła pojawiającą się na odległym horyzoncie. Nie ma tam jednego miejsca widokowego – całe zbocze parusetmetrowej długości jest widokowe.

Zgodnie ustaliliśmy miejsce postawienia domu. Z wielkich jego okien słońce byłoby widoczne cały dzień, może z wyjątkiem czerwcowych zachodów, a horyzont zamykałby się najdalszymi szczytami kaczawskimi i wieloma wałbrzyskimi na wschodzie, rudawskimi i karkonoskimi na południu, aż po izerskie na zachodzie. W dole widać byłoby z okien tego domu niemal całą Kotlinę Jeleniogórską, z miastem, wieloma wioskami i górskim drobiazgiem. Kilkadziesiąt kilometrów lotem ptaka.

Od końca wioskowej uliczki, gdzie można bezpiecznie zaparkować, idzie się na to widokowe miejsce dwadzieścia minut spacerowym krokiem, a nie pamiętam, żebym widział tam kogoś, w przeciwieństwie do pozbawionego widoków szczytu nieodległego Skopca... W tym moim miejscu dzisiaj był tłok: w pobliżu kręciła się niewiasta, więc było nas troje. Właściwie czworo – kobieta miała psa.

Ludzie, nie jeźdźcie w Góry Kaczawskie, bo nic tam nie ma! Byliście na Skopcu? Macie pieczętkę potwierdzającą zaliczenie? To jeźdźcie tam, gdzie coś jest!

Zachód słońca był wyraźny i czysty, z całą gamą czerwonych kolorów, wyżej i dalej od słońca zmieniających się w pomarańcze i żółcie, może nawet lekko różowe mazaje się pokazały w postaci cienkich, poziomych chmurków wiszących tuż nad linią gór. Po kwadransie, gdy już wracaliśmy, niebo widziane między czarnymi gałęziami drzew rozjaśniło się jednolitą pastelową barwą. Powoli ta łuna zachodu gasła, ale gdy na dole rozsiadł się już mrok, a my jechaliśmy, niebo jeszcze pamiętało o słońcu.

Opisy moich górskich wędrówek, uzupełnione zdjęciami, są w dwóch książkach dostępnych w wielu księgarniach internetowych. To „Sudeckie wędrówki” i „Góry Kaczawskie słowem malowane”.

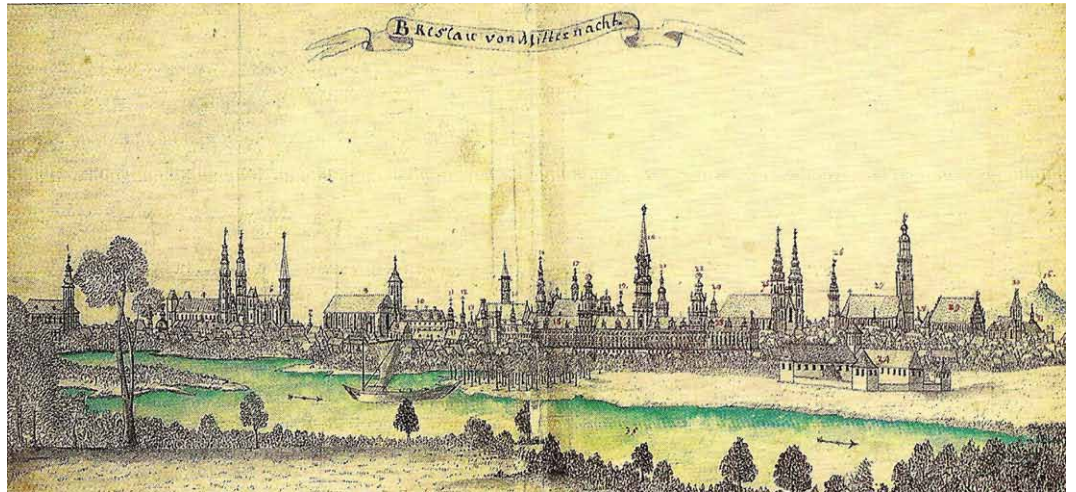
Krzysztof Gdula



Na zboczu Barańca w Górach Kaczawskich

Chorańgiewka na dachu

Oglądając widoki miast na dawnych obrazach czy rysunkach, zdumiewa nas mnogość pionowych akcentów tworzących swoisty „las wież”. Np. panorama Wrocławia na rysunku słynnego w całej Europie śląskiego wedytysty F. B. Wenera przedstawia ponad dwadzieścia pedantycznie zlokalizowanych i opisanych wież kościelnych XVIII-



Panorama Wrocławia F. B. Wenera

-wiecznego miasta. W dzisiejszym stanie urbanizacji takie panoramy nie są już możliwe – np. skądkolwiek by patrzeć na Wrocław, zobaczyć można przede wszystkim niezbyt malowniczy (delikatnie mówiąc) samotny „silos” SkyTower wylaniający się ze smogu zalegającego poniżej. Czasami tylko mniejsze miejscowości, te które zachowały historyczną zabudowę, przypominają z daleka sylwetę sprzed wieków; dobrym przykładem jest tu „pięciowieżowa” Oleśnica oglądana od zachodu z wyróżniającymi się dominantami ratusza, zamku i swoich trzech kościołów.

Takie zabytki zwykle podziwiamy z pewnej odległości – by było widać proporcje całej budowli i kształt wieńczącego wieżę hełmu. Hełmy na wieżach kościołów (ale też budowli świeckich, takich jak pałace lub ratusze) mają drewnianą konstrukcję szkieletową pokrytą mniej lub bardziej fantazyjnie uformowaną blachą.



**Wrocław, kościół św. Krzyża:
kula, krzyż i kogut**



Świdnica, wieża katedry

Jeżeli jest to blacha miedziana, to po kilkunastu latach pięknie się patynuje, tworząc warstwę chroniącą przed korozją o charakterystycznej zielonej barwie. Różnorodność form jest tu olbrzymia, zależna od rangi zabytku i od panującego stylu – poczynając od szlacheckiej prostoty późnego gotyku, przez rozbudowane konstrukcje renesansowe do wybujałych form barokowych. Znako- mitym przykładem gotyckiego hełmu jest wysmukła iglica (1484 r.) wieńcząca południową wieżę kościoła św. Krzyża – prawdziwej perły wrocławskiego Ostrowa Tumskiego. Z kolei przykładem szalenie wyrafinowanej konstrukcji jest pochodzący z 1613 r. (odbudowany wówczas po pożarze) hełm w obecnej katedrze św. Stanisława w Świdnicy. Ta wieża robi imponujące

wrażenie nie tylko swą wielkością (dolnośląski rekord), ale właśnie udanym połączeniem masywnego kamiennego korpusu ze zwężającym się ku górze hełmem z trzema dużymi prześwitami; stanowi on łącznie ponad 1/3 sumarycznej 103-metrowej wysokości.

Duże wyniesienie utrudnia dokładne przyjrzenie się szczytom wież – z dołu zwykle widać krzyż niekiedy osadzony na kuli, często też blaszaną chorągiewkę w kształcie proporczyka lub koguta. Te chorągiewki pełnią rolę znanych już od starożytności wiatrowskazów – osadzone na osi mogą się obracać i przyjmują kierunek zgodny z kierunkiem wiatru. Stąd powiedzenia „chorągiewka na dachu” albo „kurek na wietrze” stały się przysłowiowe na określenie koniunkturalisty, człowieka, który „wie skąd wiatr wieje” i odpowiednio zmienia swoje zachowanie. Ów „kurek”, czyli kogut nie jest przypadkowy – w chrześcijaństwie ma swoje symboliczne znaczenie: w nawiązaniu do ewangelicznej sceny zaparcia się św. Piotra, któremu Chrystus zapowiedział: „Pierwej, nim kogut dwa razy zapieje, trzy razy mnie się wyprzesz” (Mk 14, 71), ma przypominać o słabej woli człowieka i pobudzać jego sumienie.

Symboliczny jest też krzyż osadzony na kuli; o ile sam krzyż – niekiedy bardzo ozdobny – jest oczywistym znakiem na chrześcijańskiej świątyni, to w połączeniu z kulą ma oznaczać panowanie Jezusa nad całym światem – kulą ziemską. Niejako przy okazji kula spełnia praktyczną funkcję „kapsuły czasu” – umieszcza się tam różne dokumenty i drobne przedmioty będące świadectwem czasu budowy lub remontu wieży. Przy ponownym otwarciu po dziesiątkach, a czasem setkach lat zawartość kapsuły stanowi dla odkrywców atrakcję jak też dodatkowe źródło informacji o zabytku.

Najbardziej rozpowszechnione wiatrowskazy mają postać rozwiniętego proporca wykonanego z cienkiej blachy wzmocnionej płaskownikami, osadzonego luźno na osi i wspartego na pierścieniu oporowym. Taka prosta konstrukcja zapewnia sprawne działanie przez lata w skrajnie trudnych warunkach atmosferycznych (prócz wiatru, deszczu, śniegu i lodu zdarzają się przecież pioruny!). Na proporcu wycięte są najczęściej daty – tu jest kłopot z wypadającym „wnętrzem” cyfr 6, 8, 9 i 0 – ale też spotyka się inne symbole, takie jak emblematy zakonów, herby lub inicjały dobrodziejów itp.

Przykładem bardzo rozbudowanej chorągiewki będącej prawdziwym majstersztykiem metaloplastyki może być ażurowy wiatrowskaz na kościele w Mierczycach (pow. jaworski). Można na nim wypatrzeć dwa herby, litery DVS LVR i datę 1679 (pomysłowo poradzono sobie z 6 i 9), ale górna część przypominająca pyszczek myszki jest dość zagadkowa. Wyjaśnienia dostarcza historia zabytku: otóż Mierzyce należały do rodu von Schweinichen, a ówczesny właściciel dóbr mierczyckich Hans Friedrich odbudował miejscowy dwór i przyczynił się do restauracji kościoła, zaś herbem Schweinichenów był (i jest nadal) wg herbarzowego opisu „w polu czerwonym dzik srebrny wspięty” i ten właśnie „wspięty” dzik powędrował na szczyt kościoła parafialnego, budząc zdziwienie nieuprzedzonego obserwatora.

W Tyńcu nad Ślężą (pow. wrocławski) wycięto w blasze dwie daty upamiętniające odpowiednio: 1715 – budowę



Mierzyce, herb Schweinichenów



**Tyńiec nad Ślężą,
krzyż kawalerów maltańskich**



Gilów, korona książęca



Nowy Waliszów, krzyż i półksiężyc

wieży po spaleniu się starej oraz 1871 – gruntowną jej przebudowę, zaś nad chorągiewką umieszczono piękny krzyż maltański, jako że kawalerowie maltańscy (joannici) byli właścicielami wsi. Z kolei w Gilowie (pow. dzierzoniowski) nad krzyżem znajduje się starannie wykonana trójwymiarowa korona książęca – zapewne w nawiązaniu do św. Jadwigi, księżnej śląskiej, patronki tego kościoła; wybita poniżej na ładnie spatynowanej fikuśnej chorągiewce data 1786 rozdzielona inicjałami AK jest być może podpisem fundatora.

Interesująca jest dość skromna chorągiewka w Nowym Waliszowie (pow. kłodzki), tym razem nie najwyższa umieszczona na cebulastym hełmie wieży, ale druga – nad wschodnim szczytem prezbiterium. Jest na niej data 1599, a nad nią półksiężyc i krzyż. Ponieważ wiadomo, że kościółek był znacznie zniszczony w czasie wojny trzydziestoletniej i dopiero później odbudowywany już przez protestantów, więc zapewne chorągiewka musiała być przeniesiona ze starego kościoła. Umieszczony wyżej krzyż dominujący nad półksiężycem być może stanowi reminiscencję wojen z Turkami (może ich klęski w bitwie pod Lepanto w 1571 r., a może późniejszej bitwy pod Wiedniem z 1683 r. niemal współczesnej okresowi rozbudowy kościoła w latach 1690 -1691). *Nota bene*, oglądając ten dach, warto zwrócić uwagę na posadowiony we wschodnim szczycie nawy bardzo ładny kamienny krzyż szczytowy.

Bardzo oryginalne są wietrzniki w Lubiążu – na obu wieżach kościoła klasztorne Wniebowzięcia NMP ponad wspaniałymi barokowymi hełmami (ok. 1700 r.), rolę chorągiewek pełnią anioły przedstawione w locie z rozpostartymi skrzydłami. Każdy z nich podtrzymuje oburącz wielki podwójny krzyż opactwa cysterskiego, a są tak duże, że widać ich sylwetki nawet z dużej odległości.

Anioła można zobaczyć również na budowli nie tak monumentalnej jak opactwo lubiąskie, mianowicie na sygnaturce drewnianego kościółka św. Jana Nepomucena przeniesionego w 1913 r. ze Starego Koźła do wrocławskiego Parku Szczytnickiego. Tutaj sympatyczny anioł (anielica?) ulatuje w przestrzeń, dmąc w trąbę, być może wzywając na Sąd Ostateczny...

Warto zauważyć, że z ustawienia kościelnej chorągiewki można wyznaczyć geograficzny kierunek wiatru bez użycia kompasu; wystarczy odniesienie do osi kościoła, bowiem od średniowiecza kościoły niemal bez wyjątku były orientowane, tzn. miały prezbiterium kierowane ku wschodowi. Ta reguła, jak wiele innych w architekturze sakralnej, miała podłoże symboliczne wynikające, w pewnym uproszczeniu, z łańcucha skojarzeń: ołtarz – Chrystus – Światłość Świata – Słońce – Wschód (stąd też maksyma *Ex Oriente lux* – ze Wschodu światło). Stosowanie tej zasady można sprawdzić na wspomnianej weducie Wernera przedstawiającej widok Wrocławia od północy: wszystkie narysowane tam kościoły są ustawione równoleżnikowo, na osi wschód-zachód.

Ze względu na swą dekoracyjność od końca XIX w. wiatrowskazy w kształcie chorągiewek zaczęły się pojawiać nie tylko na kościołach i innych budynkach reprezentacyjnych, ale też np. na kamienicach mieszczańskich. Obecnie, zdaje się, wraca moda na takie ozdoby przeznaczone dla domków jednorodzinnych, tym



Lubiąż, anioł z krzyżem opactwa



Róża wiatrów z marketu

bardziej, że są dostępne niedrogie (niestety niezbyt estetyczne!) rozmaite ich wersje – z kogucikiem i bez, z różą wiatrów lub bez niej itp. Produkty z niemieckich marketów budowlanych łatwo poznać, bo mają nietypowe u nas oznaczenia kierunków świata: N, S, W i O (od niemieckiego Ost) zamiast przyjętego powszechnie E (od angielskiego East).

Wiele interesujących zdjęć chorągiewek na kościelnych wieżach można łatwo znaleźć na stronie <https://polska-org.pl/>, wybierając miejscowość (na Dolnym Śląsku prawie w każdej jest coś godnego uwagi!) a w niej odpowiedni

zabytek. Kilka tutaj opisanych całą swoją urodę ukazuje dopiero wtedy, kiedy można im się bliżej przyjrzeć, co jest raczej niemożliwe z dołu. Rozwiązaniem jest przywrócenie lornetki jako wyposażenia turysty, co ostatnio staje się niemożliwe, a smartfon ze swymi szerokokątnymi obiektywami dla wielu osób wydaje się być jedynym, uniwersalnym narzędziem utrwalania wrażeń.

Witold Komorowski

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



NA SZLAKU

www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Pustelnia szczyrzycka z diabelskim rodowodem

Działo się to w roku 1234. Chłop z nad Stradomki o imieniu Mateusz, niczym się nie wyróżniający, miał kawałek gruntu i biedną chałupę, jakich wiele było we wsi Krzesławice. Łatwy kąsek dla diabła, więc nie dziwota, że złożył mu wizytę i propozycję handlową: pieniądze za duszę. Mateusz odpowiedzi zaraz nie dał, zwlekał z nią, bo musiał poradzić się ze swoją babą, która doradziła mu, by zrobił dziurę w kapeluszu i wstawił go w otwór na kalenicy stodoły. Kiedy diabeł przybył dobić targu, usłyszał od Mateusza, że w zamian ma wypełnić do północy kapelusz złotymi dukatami, a dusza będzie jego.

Diabeł się ucieszył, jaki problem? Transakcja wydała mu się łatwa i nie nastęrczająca trudności. Uradowany przyniósł dukaty i wsypał do kapelusza, ale przez dziurę wpadły do stodoły. Poleciał drugi raz i trzeci, i czwarty,... a kapelusz ciągle był pusty. Kiedy wybiła północ, diabeł zdał sobie sprawę, że poniósł sromotną porażkę i do piekła wrócił bez chłopskiej duszy. Mateusz miał za to stodołę pełną złotych dukatów, za które wykupił dwór i ufundował cystersom klasztor w Szczyrzycu.

Kiedy diabeł zobaczył, za czyje pieniądze został zbudowany, wpadł we wściekłość i przytargał wielki kamień, którym chciał nocą zburzyć klasztor. Diabelskie szczęście wyraźnie go opuściło po raz drugi, nie zdążył, upuścił głaz zaledwie dwa kilometry przed klasztorem na dźwięk porannego dzwonu z kościoła. Tyle legenda.

Kamień spoczywa do dziś na szczyrzyckim wzgórzu, a na wschodniej ścianie skały widocznych jest pięć kulistych zagłębień, ponoć to ślady czartowskich pazurów.

Diabelski Kamień to potężny mur wierzchowinowy z piaskowca ciężkowickiego serii śląskiej, porośnięty karłowatymi sosnami i mający postać wtrąconej w krajobraz grzędy skalnej. W zależności od źródeł wymiary wahają się: długość 55-70 m, szerokość 3-12 m i wysokość 12-25 m. Z procesów wietrzenia powstały szczeliny dzielące skałę na kilka części. Pod samym kamieniem powstała na początku XIX wieku pustelnia pod wezwaniem św. Benedykta z małą Kaplicą Konania Pana Jezusa, z czasem również znana jak pobliski klasztor cystersów i uczęszczane miejsce pielgrzymkowe,



Diabelski Kamień



Krzyż postawiony w 80. rocznicę Cudu nad Wisłą

do którego licznie udawali się także górale z Podhala, Spisza i Orawy. Nie były to jednak pielgrzymki gromadne i zorganizowane, takie jak do Częstochowy czy Kalwarii Zebrzydowskiej, a bardziej rodzinne i osobiste, bo kontakt z pustelnikiem wymagał spokoju, ciszy, odosobnienia.

U podnóża Diabelskiego Kamienia postawiono duży drewniany krzyż w 80. rocznicę Cudu nad Wisłą, decydującej bitwy wojny polsko-bolszewickiej.

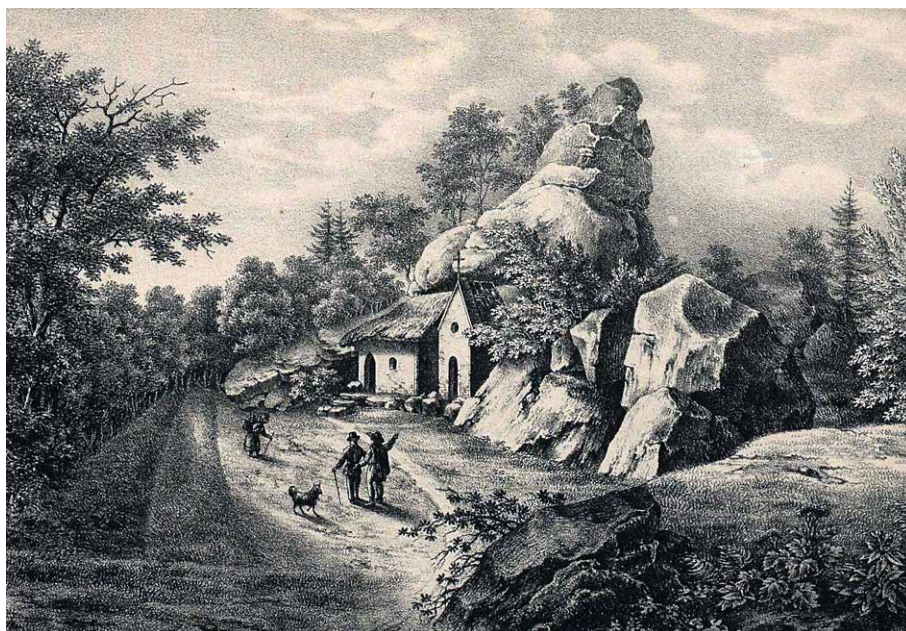
Pustelnię postanowił założyć Andrzej Grzybkowski po powrocie ze służby wojskowej. Tak się stało około 1810 roku. Osiadł jako pustelnik, mieszkając w jednej ze szczelin Diabelskiego Kamienia! Z czasem obok postawił małą kapliczkę. O budowie pustelni ani myślał, miejsca w skale mu starczało. Skończył tragicznie, czego ani on, ani pomagający mu okoliczni mieszkańcy nie mogli przewidzieć.

Jednego razu otrzymał wiadomość, aby przybył do swoich stron rodzinnych po spadek. Podzielił go między krewnych, sobie zostawiwszy symboliczną kwotę, powrócił do pustelni. Nie wiadomo, za czyją przyczyną rozeszła się wiadomość o dużej fortunie, którą ma przy sobie. Stało się najgorsze, 15 października 1829 roku znaleziono zamordowanego pustelnika. Dopiero po roku w karczmie w Poznachowicach Górnych bawiące się dzieci wyciągnęły zza pieca ubranie pustelnika. Śledztwo dowiodło, że zbrodni dopuścili się karczmarze z trzecim współnikiem. Przyznali się, osadzono ich w surowym więzieniu w Nowym Wiśniczu, gdzie zmarli przed wykonaniem wyroku.

Długo wypatrywano następnego pustelnika, w końcu mieszkańcy się doczekali. W 1848 roku przybył Popiel trojga imion: Urban Jan Kanty. Józefatowie Kałuscy, do których należał ten teren, wybudowali mu skromny domek, a cystersi poświęcili. Był lubiany i cieszył się życzliwością, jakoś nikomu nie przeszkadzała pogłoska, że był prawdopodobnie... żonaty. Pomagał pielgrzymom, a nawet bywał dla nich przewodnikiem do Kalwarii Zebrzydowskiej. Przeżył w pustelni 14 lat, mieszkał w niej do końca, a zmarł 8 marca 1862 roku.

Po nim osiadł w pustelni Błażej Stermach, góral z Pcimia o trochę pogmatwanym życiorysie szukający swego miejsca w świecie. Najpierw był klerykiem w klasztorze Kapucynów w Krakowie, ale nie wytrzymał reguły, zaczął nauczać w wiejskich szkołach, aż zawędrował pod Diabelski Kamień. Takie ascetyczne życie w pustelni mu odpowiadało, zmarł w niej nagle po 14 latach, nie wiadomo z jakiej przyczyny, mając zaledwie 45 lat.

Po jego śmierci osiadł w pustelni Ludwik Benedykt Pawlikowski, mąż słusznego wieku, ziemski właściciel dóbr z Zawieczyna z powiatu złoczowskiego. Nie pożył długo, zmarł w 1883 roku po 4-5 latach odosobnienia w pustelni. Jego syn zarządzał dworem w pobliskiej Skrzydlnej.



Pustelnia szczyrzycka św. Benedykta na rycinie z 1840 r.



Pustelnia z kaplicą

Z kolei Jakub Papież, który po nim nastąpił, cieszył się pustelniczym życiem jeszcze krócej, bo zaledwie dwa lata. Zmarł na udar mózgu w wieku 82 lat. Wcześniej służył w klasztorze u cystersów, pochodził z Wilkowiska i był mężem Marii Płaneta.

Po nim przybył ze Lwowa Antoni Gabryel Rąp, który wcześniej pracował w drukarni. Uległ nieszczęśliwemu wypadkowi, maszyna zmiażdżyła mu rękę i lekarze orzekli jej amputację. Nie zgodził się na nią, polecając się Matce Boskiej z Lourdes. Ozdrowiał i w podziękowanie pojechał z pielgrzymką do Lourdes, a wróciwszy osiadł w pustelni. Wraz

z zakonikiem Jędrzejem Jarzębińskim z klasztoru cystersów zbudował w 1886 roku kaplicę w stylu gotyckim, która stoi do dzisiaj. Tenże braciszek ponadto wykonał obok pustelni stacje Drogi Krzyżowej. Antoni Rąp zmarł w pustelni w wieku 67 lat. Po nim zaledwie przez cztery lata przebywał w pustelni brat Roch Janiewicz z zakonu oo. Reformatów. Odwołany przez przełożonego, złożył śluby zakonne i osiadł w jednym z klasztorów we wschodniej Galicji.

W 1897 roku przybył do pustelni Paweł Józef Półtorak z Koźmic Wielkich spod Wieliczki, tercjarz III zakonu św. Franciszka. Miał 42 lata, był bardzo pobożny, udał się nawet na pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Dorabiał sobie na utrzymanie, wykonując różańce, sztuczne kwiaty, koronki... Pobyt w pustelni potraktował przejściowo, po kilku latach przeniósł się do Kalwarii Zebrzydowskiej, tam zmarł w 1934 roku w pustelni Marii Magdaleny.

Przez dwa lata mieszkał w samotni Wojciech Benedykt Stępień z Mielecczyny. Starał się o przyjęcie do zakonu trapistów, bezowocnie – ze względu na stan zdrowia. Do pustelni nie powrócił, ale dalej prowadził pustelniczy żywot w Odrowążu. Jego miejsce w 1906 roku zajął wołyńnianin spod Łucka Antoni Chrzastowski, tercjarz III zakonu św. Franciszka. Za swoje oszczędności odrestaurował kapliczkę i na nowo wznosił domek, w którym mieszkał przez 20 lat. Przeniósł się do pustelni w Spytkowicach, co skończyło się dla niego tragicznie, tam zabili go złodzieje.

Przez rok w pustelni mieszkał mężczyzna o nieustalonej tożsamości. Tak jak się pojawił, tak zniknął. Osiadł natomiast w niej w latach 1925-1931 Jan Ołędzki z kieleckiego, tercjarz III zakonu św. Franciszka. Stronił od ludzi, zamykał się w domku na cztery spusty i nie był lubiany. Zmarł u Bonifratrów w Krakowie.

Najdłużej w pustelni, bo aż przez 51 lat (1933-1984) przebywał Florian Klamka, zmarł mając 96 lat!

Ostatnim eremita w tym miejscu był Zygmunt Młynek, który przybył z Zabrzeża z klasztoru kamilianów i przebywał w pustelni do 1997 roku.



Pustelnia



Kaplica

Częściowo odrestaurował podniszczoną kaplicę oraz na nowo zbudował domek pustelnika. Zakonnicy uważali, że nie miał powołania do życia ascetycznego. Okoliczni mieszkańcy zauważyli, że przyjmował turystów na noclegi, bywało, że całe wycieczki, oficjalnie za datki. Odwiedzającym pielgrzymom opowiadał, że jego posiłek składa się z korzonków roślin. Z początkiem lat 90. minionego wieku stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Niespodzianie pojawiła się właścicielka terenu, która po procesie odzyskała rodzinne dobra, a na nich znajdował się Diabelski Kamień, także domek pustelnika i kaplica. Można się domyślać rozmów pustelnika z właścicielką o warunkach dzierżawy, a że był porywczy, stało się to, co w porywie zrobił. W złości porąbał trumnę, w której sypiał, spakował się i wrócił do rodzinnych Wadowic.

Od tego czasu pustelnia stoi pusta, ale jest tak samo licznie odwiedzana przez turystów i pielgrzymów, a niektórzy wędrują jak dawniej – na nogach z Podhala, Spisza, Orawy, a nawet z dalszych zakątków kraju i zadają sobie pytanie: kto będzie piętnastym pustelnikiem?

Pomyślmy, nie byłoby tego miejsca, gdyby diabeł nie upuścił kamienia, chcąc zburzyć klasztor w dolinie Stradomki. Podobnie jak w Pieninach, gdzie chciał zniszczyć zamek św. Kingi na Zamkowej Górze i również kamienia nie doniósł. Do dzisiaj w głównym nurcie Dunajca pod Szczawnicą widzimy równie wielki kamień zwany Kotońką. Legendy są piękne i budujące, ale ta spod Szczyrzyca gloryfikuje ludową mądrość chłopską i ośmiesza głupotę diabelską.

Ryszard M. Remiszewski



Ołtarz w kaplicy

Najcięższe podejścia w polskich Beskidach. Część 3 – Beskid Makowski

Kontynuujemy cykl artykułów poświęconych najcięższym podejściom w Beskidach. W poprzednich numerach „Na Szlaku” omówiliśmy Beskid Wyspowy i Gorce. Tym razem oczy skierujemy na Beskid Makowski. Pod uwagę weźmiemy dziesięć najwyższych szczytów tej grupy górskiej. Zestawienie powstało w oparciu o portal mapa.turystyczna.pl

W przypadku podejść w Beskidzie Makowskim wśród turystów panuje opinia, że najciężej podchodzi się z Myślenic na Lubomira. Skonfrontujemy to z rzeczywistymi pomiarami. Spójrzmy na poniższe zestawienie. Po jego analizie wyłonimy pięć najcięższych podejść w Beskidzie Makowskim.

1) Lubomir (904 m)

Myślenice – Lubomir: szlakiem czerwonym, suma podejść: 896 m

Pcim – Lubomir: szlakiem czarnym i czerwonym, suma podejść: 660 m

Lubień – Lubomir: szlakiem żółtym i czerwonym, suma podejść: 744 m

Przełęcz Jaworzyce – Lubomir: szlakiem czerwonym, suma podejść: 339 m

Wiśniowa – Lubomir: szlakiem zielonym, suma podejść: 564 m

Przełęcz Zasańska – Lubomir: szlakiem żółtym, suma podejść: 647 m

2) Łysina (891 m)

Myślenice – Łysina: szlakiem czerwonym, suma podejść: 864 m

Pcim – Łysina: szlakiem czarnym i czerwonym, suma podejść: 627 m

Lubień – Łysina: szlakiem żółtym, suma podejść: 722 m

Przełęcz Jaworzycy – Łysina: szlakiem czerwonym, suma podejść: 359 m

Wiśniowa – Łysina: szlakiem zielonym i czerwonym, suma podejść: 584 m

Przełęcz Zasańska – Łysina: szlakiem żółtym, suma podejść: 614 m

3) Koskowa Góra (867 m)

Bieńkówka – Koskowa Góra, szlakiem niebieskim, suma podejść: 406 m

Rola Jabconiowa – Koskowa Góra, szlakiem niebieskim, suma podejść: 319 m

Maków Podhalański – Koskowa Góra, szlakiem żółtym, suma podejść: 641 m

4) Zembalowa (849 m)

Lubień – Zembalowa, szlakiem żółtym, suma podejść: 531 m

Tokarnia – Zembalowa, szlakiem czarnym, suma podejść: 477 m

Naprawa – Zembalowa, szlakiem żółtym, suma podejść: 325 m

5) Kotoń (857 m)

Trzebunia – Kotoń, szlakiem zielonym i żółtym, suma podejść: 467 m

Pcim – Kotoń, szlakiem żółtym, suma podejść: 533 m

Tokarnia – Kotoń, szlakiem czarnym i żółtym, suma podejść: 453 m

6) Stołowa Góra (841 m)

Skomielna Czarna – Stołowa Góra, szlakiem zielonym, suma podejść: 373 m

Zarębki – Stołowa Góra, szlakiem niebieskim i zielonym, suma podejść: 288 m

7) Golec (763 m)

Tokarnia – Golec, szlakiem czarnym, suma podejść: 382 m

Naprawa – Golec, szlakiem żółtym i czarnym, suma podejść: 332 m

8) Babica (727 m)

Palcza – Babica, szlakiem czerwonym, suma podejść: 359 m

Bieńkówka – Babica, szlakiem niebieskim i czerwonym, suma podejść: 275 m

Myślenice – Babica, szlakiem czerwonym, suma podejść: 655 m

9) Chełm (603 m)

Myślenice Zarabie – Chełm, szlakiem zielonym, suma podejść: 342 m

Działek – Chełm, szlakiem zielonym, suma podejść: 150 m

10) Barnasiówka (566 m)

Myślenice – Barnasiówka, szlakiem czerwonym, suma podejść: 297 m

Sułkowice – Barnasiówka, szlakiem żółtym, suma podejść: 362 m

Z zestawienia wynika, iż najcięższe podejście w Beskidzie Makowskim jest z Myślenic na Lubomira szlakiem czerwonym, suma podejść to 896 m. Zatem tu by się zbiegły subiektywne odczucia turystów z faktycznymi pomiarami. Na drugim miejscu uplasowało się podejście z Myślenic na Łysinę szlakiem czerwonym, suma podejść to 864 m. Trzecie miejsce to podejście z Lubnia na Lubomira szlakiem żółtym i czerwonym, suma podejść to 744 m. Poza podium bo na miejscu czwartym znalazło się podejście z Lubnia na Łysinę szlakiem żółtym, suma podejść wyniosła 722 m. Na piątym miejscu uplasowało się podejście z Przełęczy Zasańskiej na Lubomira szlakiem żółtym, suma podejść to 647 m.

Sebastian Jakobschy

Krynica, czyli źródło odnowy ciała i ducha

Karpacka wieś wśród niedużych gór, z metryką datowaną w 1547 r., własność bujnej natury, biskupów krakowskich, poznana i ceniona za walory źródeł zdrowych wód, a więc po dawnemu – Krynica. W dużej dolinie, zamieszkała przez Łemków, a oni żyli w chyzach, modlili się w cerkwiach, żyli bezkonfliktowo odwiecznie z uprawy lichej ziemi i pasterstwa, po swojemu. Dopiero 230 lat temu urzędnik zaborskich władz austriackich kupił te ziemie, aby urządzić dzięki zdrowej wodzie nowe uzdrowisko.

W 1877 r. dobro tych wód i górskiego powietrza docenił austriacki urzędnik Saunbergen i w 1793 r. za 50 dawnych złotych zakupił tu ziemię ze źródłem wody mineralnej, aby założyć nowe w tych stronach uzdrowisko. Potwierdził walory zdrowotne tych okolic i źródłanych wód wybitny polski lekarz Józef Dietl (1804-1878), twórca naszego przemysłu zdrojowego. Od 1877 r. dla poprawy swego zdrowia w 64 wiejskich domach zamieszkali tzw. kuracjusze. Niebawem powstała Komisja Zdrojowa, by rozwinąć Krynickie Zdroje i stworzyć Cesarsko - Królewski Zakład Homeopatyczny. W drewnianej altanie o wyszukanej architekturze zbudowanej nad źródłem niespiesznie popijano wodę dla zdrowotności.

Dalszy prężny rozwój górskiej wsi, która stawała się modnym uzdrowiskiem, przypada na pierwsze lata XX w. W 1911 r. do Krynicy doprowadzono linię kolejową i w tym samym roku wieś uzyskała prawa miejskie. W styczniu 1937 r. w Krynicy bawiła w podróży poślubnej przyszła królowa Holandii – księżniczka Juliana z mężem księciem Bernardem von Biesterfeld. To jedyne w swoim rodzaju wydarzenie miało jeszcze bardziej niezwykły skutek. Pobyt zaowocował narodzinami Beatrycze – przyszłej królowej tego kraju. Od 1937 r. kuracjuszy i turystów cieszyła ziemno-linowa kolej na Górę Parkową. Obecnie od 23 lat cieszy kolejka gondolowa na Jaworzynę. Krynice lansowano i nazywano stacją narciarską, ale nie zdołała zdobyć większej popularności niż Zakopane.

Jednak to górskie bezludzie rychło stało się modne i ludne. Źródła nazywano krzenycze, a pole ze źródłami kernica lub krenica, wodę krenicą, zaś po łemkowsku to studnia ze źródłem. Stąd już było blisko do Krynicy, a popularna woda mineralna zwie się Kryniczanka. Krynice rozświetliła jeszcze bardziej woda o nazwie Zuber. A nie mniej popularna stała się woda Bocianówka ze źródła pod Górą Parkową., bowiem jej picie skutecznie sprzyjało płodności, co potwierdziło się (podobno) nie tylko w przypadku księżniczki holenderskiej.

Modzie na pobyt w Krynicy sprzyjali sławni pisarze, aktorzy, muzycy, urzędnicy, przemysłowcy, politycy. Krynickie lecznicze wody źródlane pili i licznie przybywali do nich oraz uświetniali swoimi pobytami kuracyjnymi Jan Matejko, Józef Piłsudski, Artur Grottger, Henryk Sienkiewicz, Józef Ignacy Kraszewski, Ludwik Solski, Helena Modrzejewska, Władysław Reymont, Julian Tuwim, Konstanty Ildefons Gałczyński i Jan Kiepura, który ufundował pensjonat «Patria», a od wielu lat przypomina o jego wkładzie w popularyzację Krynicy festiwal pieśniarzy jego imienia.

Uzdrowisko z biegiem lat zyskiwało na znaczeniu w skali europejskiej. W jego powodzeniu zasłużyli się także geolodzy, którzy odkrywali kolejne cenne źródła. Przed 1939 rokiem uzdrowisko odwiedzało w ciągu roku w sezonach letnich i zimowych po 35-40 tys. gości, po 1945 zaledwie kilkuset, ale już w 1947 o Krynicy pamiętało 15 tys. kuracjuszy, letników, wczasowiczów. Krynica to nie tylko liczni i sławni goście, to także rozbudowa miasta, coraz liczniejsze w XIX i XX wieku pensjonaty, hotele, prywatne wille, pawilony i pijalnie wód.

Wiele z nich przetrwało trudne lata i ma znaczenie jako zabytki architektury uzdrowiskowej. Unikatowa jest cenna kolekcja zabytkowych, tworzących swoisty styl w zabudowie, pensjonatów i willi dla kuracjuszy. Wiele z nich ma znaczenie jako zabytki architektury uzdrowiskowej. Są to np. wille „Janina», „Góral», „Jaworzynka», „Romanówka», czy „Małopolanka» z 1898 r., „Węgierska Korona» z 1880 r., „Kosynier», „Wisła», „Witoldówka», „Biała Róża» z 1856 r., „Biały Orzeł» z 1857 r., wspomniany modernistyczny wielopiętrowy pensjonat-hotel „Patria», ale też muszla koncertowa, kilka stylowych pawilonów i pijalni wód krynickich, zdroje: Główny, Jan, Józef, Tadeusz, Zuber.

„Słotwinka” to najstarsza zabytkowa pijalnia i oryginalna obudowa źródła wody leczniczej Słotwinka z 1806 r. Przeniesiona została na obecne miejsce w połowie XIX w. To stylowy drewniany pawilon w kształcie rotundy z licznymi oknami w otoczeniu starodrzewu, Parku Słotwińskiego, miejsce spotkań kuracjuszy dostępne tylko w miesiącach letnich. Zabytkowe są Łazienki Borowinowe z 1881 r., Stare Łazienki Mineralne z 1863 r. W centrum uzdrowiska jest potężny w skali lokalnej modernistyczny Stary Dom Zdrojowy z 1889 r. (z zachowaną oryginalną salą balową), który był ośrodkiem życia towarzyskiego kuracjuszy

– obecnie odnowiona sala nadal pełni taką rolę. W reprezentacyjnym Domu Zdrojowym z 1889 r. jest równie zabytkowa stylowo wyposażona pijalnia wody mineralnej „Mieczysław”.

Do wybitnych krynickich zabytków należy drewniany kościół z 1864 r., kościół p.w. Wniebowzięcia NMP z 1887–1902 w stylu „renesansu włoskiego”. Do najcenniejszych polskich zabytków drewnianych zalicza się Szlak Cerkwi Łemkowskich w samej Krynicy i okolicznych miejscowościach Beskidu Sądeckiego i Niskiego. Jest to zespół 11 obiektów sakralnych wpisanych w 2013 r. na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Od 1995 r. w willi „Romanówka” mieści się Muzeum Biograficzne Nikifora – właściwie Epifaniusza Drewnioka (1895-1968), postaci charakterystycznej dla tego uzdrowiska, samorodnego łemkowskiego artysty malarza krynickich pejzaży, willi, świątyń. Swoiste dyżury twórcze pełnił wiele lat na głównym deptaku krynickim, proponując zakup swoich malunków, które zyskały sławę daleko poza uzdrowiskiem.

Od 1992 r. z inicjatywy sądeckich działaczy samorządowych i politycznych oraz Instytutu Studiów Wschodnich z Warszawy odbywa się w Krynicy z udziałem wybitnych ekonomistów i polityków o randze światowej Międzynarodowe Forum Ekonomiczne. Impreza wzorowana jest na podobnym zgromadzeniu odbywającym się w szwajcarskim Davos. Niestety, ta impreza jest niedostępna dla zwyczajnych turystów i krajoznawców z powodu swej ekskluzywności intelektualnej, politycznej, ekonomicznej i filozoficznej.

Do wiernych bywalców i popularyzatorów Krynicy należał Mieczysław Orłowicz (1881-1959). Organizowane przez niego grupowe tzw. „wycieczki sierpniowe pod firmą Oddziału Warszawskiego PTT „, w latach 30., 40., 50. minionego wieku często miały w programie odwiedzanie Krynicy i okolic. Orłowicz z racji zajmowanego stanowiska w Ministerstwie Robót Publicznych, a potem Komunikacji sprzyjał planowanej przez wiele lat budowie schroniska na Prehybie rozpoczętej w 1937 r., a planowanej od 1928 r. Oddział PTT w Krynicy wraz z Komitetem Budowy schroniska urządził w krynickim Domu Zdrojowym wystawę makiety i prowadził sprzedaż cegiełek wspomagających jego budowę. W tej sprawie i odbudowie po pożarze w 1934 r. skromnego schroniska „Zochna” na Jaworzynie współpracował z hrabią Adamem Stadnickim, właścicielem lasów w tym rejonie. Zarazem trzeba było pokonać niechęć Łemków – właścicieli polan do tradycyjnego wypasu – dla takiej inwestycji na szczytowej otwartej polanie widokowej.

Tragiczny pożar wybuchł na Prehybie 17 grudnia 1991 r., w dniu 110. rocznicy urodzin Orłowicza. Nie była możliwa pomoc straży pożarnej, zniszczeniu uległa drewniana część budowli. Odbudowa była sukcesem i na Prehybie ponownie od 1998 r. jest stylowe schronisko. Warto wspomnieć, że Orłowicz popularyzował Beskid Sądecki, Krynicy i inne miejscowości w swoim „Przewodniku po Galicyi, Bukowinie, Spiszu, Orawie i Śląsku Cieszyńskim” (1919). We wstępie zastrzegł, że „książka ta napisana jest dla turystów”. W opisie trasy nr 38 Nowy Sącz – Szczawnica – Krynica opisał niemal wszystkie atrakcje krajoznawcze tej okolicy nad Popradem.

Zachwalał „śliczny widok na Tatry” z Prehyby, a w Żegiestowie polecał „nędzna ruską wioskę, uczęszczaną w lecie dla kąpiele w Popradzie i bliskości zakładu kąpielowego. Kilkanaście domów do wynajęcia”. Zalecał też wycieczki do wsi Szczawnik, przez Pustą Wielką i Jaworzynkę do Krynicy. Dla przykładu wypada wspomnieć o jednej z wielu wędrowek grup pod przewodnictwem Orłowicza szlakami przez Beskid Sądecki i liczne miejscowości tego regionu oraz oczywiście Krynicy w sierpniu 1948 r. Zwiedzano Stare i Nowe Łazienki, Górę Parkową, wyludniony Żegiestów.

Orłowicz zanotował w tradycyjnym „Sprawozdaniu” z tej wycieczki: „...wiele domów oznakowanych było literami, co wskazywało na przypisanie ich nowym właścicielom lub wręcz rozbiórkę” (to skutki zbrodniczej Akcji „Wisła”). W 1956 r. Orłowicz poprowadził swoją grupę od Goczałkowic do Krynicy, Muszyny, Żegiestowa, Rytra, z radością z dobrej pogody, obfitego zbioru i posiłków z grzybów, noclegu przy ognisku na Kozim Wierchu, podziwianiu panoramy Tatr i Pienin z Prehyby. W sierpniu 1958 r. uczestnicy tradycyjnej wycieczki z Orłowiczem wzięli udział w uroczystym otwarciu schroniska na Prehybie. Niestety, zmarł w 1959 r. i nigdy nie poprowadził wycieczki do krynickiego uzdrowiska.

Tomasz Kowalik



Nowe mody i stare błędy

Mijająca zima była w górach wyjątkowa i to z wielu różnych względów. Panująca pandemia koronawirusa i związane z nią ograniczenia we wszystkich dziedzinach życia spowodowały zmiany w wielu aktywnościach społecznych, gospodarczych i w tym, co nas najbardziej interesuje – w górskiej turystyce. Ferii zimowych praktycznie nie było, choć wiele osób przyjeżdżało do górskich miejscowości pomieszkując „u cici”, natomiast na soboty i niedziele kto żyw jechał w góry. Zapelniały się górskie szlaki ludźmi nie zawsze wiedzącymi, co może ich w tych górach spotkać. Okazało się przy tym, że do zestawu działań turystycznych awansowało coś, co z turystyka górską nie ma wiele wspólnego, nie licząc miejsca uprawiania tej osobliwej aktywności. Chodzi o tzw. górskie morsowanie, czyli chodzenie zimą po górach w strojach plażowych. I choćby miłośnicy tego „morsowania” twierdzili coś innego, ja twierdzę, że ci ludzie to nie są górcy turyści, a ich działalność to nie jest turystyka i zdania nie zmienię. Oczywiście to co robią mieści się w słownikowym znaczeniu słowa „turystyka”, ale nic ponadto. **Podsumowując owo „morsowanie” trzeba pamiętać, że przez tych ludzi ratownicy GOPR mieli dodatkową robotę angażującą duże siły i środki, gdyż wyprawy ratujące zdrowie i życie owych „morsów” przebiegały najczęściej w trudnych warunkach terenowych i pogodowych. Akurat trafiło na okres najsilniejszych mrozów, największych opadów śniegu i najsilniejszych wiatrów.** Było tak na Babiej Górze, na Śnieżce, w Beskidzie Śląskim i w Bieszczadach. Pozostaje pytanie, czy miłośnicy takiego spędzania wolnego czasu wyciągną z minionych wydarzeń jakieś konstruktywne wnioski. A może wymyślą jeszcze coś innego, jakąś modyfikację lub całkiem nową aktywność, coś czego jeszcze nie było, byle zachwycić świat i siebie samego. Na nizinach, oprócz „zwykłego” morsowania w jeziorach, pojawili się ludzie próbujący przepłynąć pod lodem od przerębli do przerębli. Jak wiemy, jedna z takich prób skończyła się tragicznie, a przecież było to „tylko” 4 metry od dziury do dziury.

Asortyment wypadków tej zimy był bogaty. Przeważały „tradycyjne” skreńcenia stawu skokowego, urazy kolan (to głównie u narciarzy turowych), były wypadki lawinowe, nie brakło też zabłądzeń. Działo się tak w Bieszczadach, w Beskidzie Śląskim i Żywieckim, ale w czołówce tradycyjnie Babia Góra. Ciekawy wypadek miał miejsce w ostatni weekend lutego. Zgłoszenie o problemach w szczytowych partiach Babiej wpłynęło o godzinie 21.00. Pomocy potrzebowała para turystów, którzy o tej porze znaleźli się w rejonie Żlebu Poszukiwaczy Skarbów. Turyści rozdzielili się, mężczyzna obsunął się żlebem i stracili kontakt ze sobą. Ruszyły poszukiwania, w które zaangażowanych było 36 ratowników. Turysta, który nie odniósł obrażeń, zszedł do górnego płaju, gdzie spotkali go ratownicy. Pozostało odnaleźć zagubioną turystkę. Kontakt nawiązano przed godz. 23. Ze względu na trudne warunki terenowe i śniegowe sprowadzono ją w dół po zboczu ok. 250 m za pomocą technik linowych. Przed godz. 1 w nocy poszkodowana i ratownicy byli już na Markowych Szczawinach. Akcję zakończono o godz. 3 w nocy w Zawoi Markowej. Trzeba przyznać, że turyści zachowali zimną krew, nie odnieśli obrażeń, co może świadczyć o dobrym przygotowaniu do wyjścia w góry, pozostaje zagadką, jak to się stało, że błędzili późnym wieczorem w szczytowych partiach Babiej Góry.



Skutery i quady – zmora zimowej turystyki

Kolejny raz w spektakularny sposób pokazała Babia Góra na co ją stać 11 turystom, którzy 11 marca „nie dali jej rady”. Wiało ponad 100 km/godz., do tego silne opady śniegu. To optymalne warunki do tego, żeby narobić sobie na babiogórskim grzbiecie sporych kłopotów. Grupa schodząca już ze szczytu w kierunku Brony i Markowych Szczawin nie mogła sobie poradzić z warunkami na grzbiecie. O 14.30 wpłynęło zgłoszenie, o 15.30 ratownicy dotarli do pierwszej grupki (turyści rozdzielili się) na przeł. Brona. Byli w dobrym stanie i zeszli samodzielnie do schroniska. Cztery osoby oczekiwały na pomoc w rejonie Lodowej Przełęczy. Można by zapytać, dlaczego najsilniejsi schodzili na Bronę, a **najslabsi (jak się okazało) zostali na gorze w najgorszym miejscu całego masywu**. Dlaczego najgorszym? Otóż Lodowa przełęcz to najbardziej wietrzne i najtrudniejsze orientacyjnie miejsce babiogórskiego grzbieta. Przez wypłaszczenie grzbieta przetacza się najsilniejszy wiatr, nie ma gdzie się schować, ani krzaczka kosówki, ani kawała wystającej skały – kompletna goliżna. Dodatkowo jest to miejsce, gdzie grzbiet zakręca na pn-zachód. Zatem przy ograniczonej widzialności, a bywa, że nic nie widać na kilka metrów, ktoś, kto nie zna dokładnego przebiegu grzbieta, idzie prosto, a prosto oznacza zejście na stronę słowacką. Był już niejeden taki przypadek.

Godzinę później, o 16.30 ratownicy dotarli do grupki tkwiącej na Lodowej. Dwie osoby były już w dość ciężkim stanie, dwie w nieco lepszym. Po zabezpieczeniu termicznym i udzieleniu pierwszej pomocy poszkodowani zostali przetransportowani przez Bronę na Markowe Szczawiny. Tam ze względu na stromy teren i **zagrożenie lawinowe*** (tak, tak) opuszczono ratowanych poniżej przełęczy przy pomocy technik linowych. Wkrótce wszyscy znaleźli się w placówce GOPR na Markowych Szczawinach, a najciężej poszkodowanych przetransportowano do szpitala. Cała akcja zakończyła się późnym wieczorem, a zaangażowanych było 20 ratowników. Proszę sobie wyobrazić, jak doskonała jest organizacja GOPR, wszak na dyżurze na Markowych przebywa na stałe trzech ratowników, jak szybko udaje się zmobilizować ich odpowiednią do sytuacji liczbę.

Zagrożenie lawinowe w rejonie Przełęczy Brona utrzymuje się niemal każdej zimy po większych opadach śniegu. Na początku marca zeszła tam niewielka lawina, gdy urwał się nawis śnieżny. Niewielka i zatrzymała się przed szlakiem, ale to pokazuje, że istnieje potencjalne niebezpieczeństwo. Najbardziej lawinowe miejsca masywu to oczywiście zleby: Jarzębinowy (z Kościółków), Piarżysty, Poszukiwaczy Skarbów, Szeroki (to ten największy) i kilka mniejszych na wschód od szczytu. Może warto przypomnieć, że lawiny mogą schodzić także w Karkonoszach i w Bieszczadach, a nawet na Cergowej w Beskidzie Niskim. *W tym roku w kilku miejscach na północnym stoku góry pojawiły się całkiem spore lawiny deskowe, które mogą być zagrożeniem dla wędrujących żółtym szlakiem z Dukli* – mówi Dominik Jagieła, podleśniczy z Nadleśnictwa Dukla i jednocześnie ratownik Grupy Bieszczadzkiej GOPR (źródło: Lasy Państwowe)



Nawisy śnieżne na Bronie

Wracając do nowych mód bądź aktywności na górskich szlakach. Nasiliła się szczególnie jedna, choć to niezupełna nowość. Chodzi o dziesiątki ludzi jeżdżących **po szlakach pieszych na quadach i skuterach śnieżnych**. Letnia wersja to quady i motocykle enduro. Można było spotkać nie tylko pojedyncze pojazdy, ale całe ekipy liczące nawet siedem sztuk. Największy ruch panował w soboty i niedziele. Stanowią wielkie niebezpieczeństwo dla turystów przebywających na szlakach. Teren maskuje dźwięk i nierzadko taki skuter wypada na dużej prędkości zza zakrętu. Co gorsze, tymi ciężkimi i szybkimi pojazdami kierują nawet nieletni, widziałem kilkunastolatków na jednym z beskidzkich szlaków. Niestety, żadne władze i służby nie wiedzą, jak sobie poradzić z tymi nielegalnymi harcami. Policję, owszem widać, ale na stokach w ośrodkach narciarskich, gdzie pilnowała dystansu społecznego i noszenia antycovidowych maseczek, nie ma odważnych, którzy przepędziliby to zmotoryzowane bractwo z gór. Ten fragment artykułu dedykuję Policji Państwowej, Straży Leśnej, samorządowcom, właścicielom skuterów i quadów, i właścicielom wypożyczalni. Pamiętajcie – te jazdy są NIELEGALNE, co wynika wprost z Ustawy o lasach. Nam turystom pozostaje wyostrzyć wzrok i słuch pod kątem obecności pojazdów w górach. Szkoda, że zamiast słuchać ciszy, musimy słuchać, czy nie nadjeżdża jakiś miłośnik spalin i hałasu.

Juliusz Wyslouch

Niagara? Obowiązkowo! (2)

Wynurzając się z chłodnych i wilgotnych podziemi kanadyjskiego Wodospadu Podkowy, z niecierpliwością oczekujemy na możliwość wystawienia twarzy do słońca. Przeciskając się przez tłum, zastanawiamy się, skąd tu teraz aż tylu ludzi? Kiedy docieramy do głównego przeszklonego hallu, wszystko się wyjaśnia: na dworze pada! Stwierdzamy, że przecież i tak jesteśmy ubrani w peleryny, więc bez zastanowienia ruszamy „na miasto”. Po drodze drobny posiłek (wszędzie kuszą bary, restauracje i fast-foody) i chwila odpoczynku wystarczają, by zregenerować siły do dalszego zwiedzania cudów Niagary.

Kierujemy się szybko w dół rzeki, by wkrótce zameldować się przy kasie biletowej Hornblower Niagara Cruises. Kupujemy bilety (do biletów gratis nowe pelerynki – tym razem zielone, z firmowym logo!) i przeszkloną windą zjeżdżamy na przystań, gdzie cumuje już jeden z kanadyjskich katamaranów. To nowe jednostki, każdą napędzają dwa silniki Scanii po 450 KM i każda może zabrać do 700 pasażerów. Ruszamy!

Niby przestało padać, ale cóż z tego: w miarę zbliżania się do wodospadu mgła wodna wokół nas gęstnieje. Zaciągamy tasiemki peleryn, pod którymi pieczołowicie chowamy aparaty fotograficzne i przesuwamy się w stronę dziobu (dziobów?) naszej jednostki. Teraz już jesteśmy atakowani ze wszystkich stron nie przez mgłę nawet, a przez pył składający się z coraz większych kropelek. Zdejmuję okulary zupełnie zalane wodą – w nich nie widzę nic lepiej, niż bez nich.

Po lewej mijamy wodospad amerykański, którego wody rozbijają się na stercie ogromnych głazów wielkości i kształtu domków jednorodzinnych, jakie stawiali nasi rodacy w latach 60. Do strumieni kierujących się w dół dołączają się potężne fontanny wody odbijanej od tych kamoli we wszystkich pozostałych kierunkach. Wszystko to miele się, kołuje i pieni przy ogłuszającym ryku i łomocie. Jak w mikserze! – przeżywa mi przez myśl. Paradoksalnie, owe fontanny uratowały swego czasu życie psu, którego wody Niagary zniosły na ten wodospad. Spadając, psiak szczęśliwym trafem trafił na wielki wodotrysk, który zamortyzował upadek i zwierzę szczęśliwie wyłowiono poniżej wodospadu...



Nasz katamaran „Niagara Thunder”



Zabudowa kanadyjskiego Niagara Falls z widoczną „maczugą” Minolta Tower

Ale co tam! Stateczek, podrzu-
cany spienionymi bałwanami, pra-
cowicie prze ku podstawie Wielkiej
Podkowy. Zapieram się o reling i za-
stanawiam, czy jest sens próbować
robić zdjęcia? Rzykuję. Żona robi
daszek z poły swojej peleryny, ja pod
moją folią szybko zdejmuję pokryw-
kę z obiektywu – chwilka na usta-
wienie parametrów, pstryk! – i pod
pelerynę! Nasz katamaran zatacza
wolno łuk u stóp kaskady. Pod nami
blisko 50 metrów wody! Ogromny
kocioł eworsyjny działa jak młyn
wciągający wszystko w swoje głę-
biny. 120 lat temu „wypluł” beczkę
pani Taylor (p. „NS” 3/2021, s. 22)
dzięki temu, że ta (beczka, oczywi-
ście!) nie pękła i nie utraciła swojej

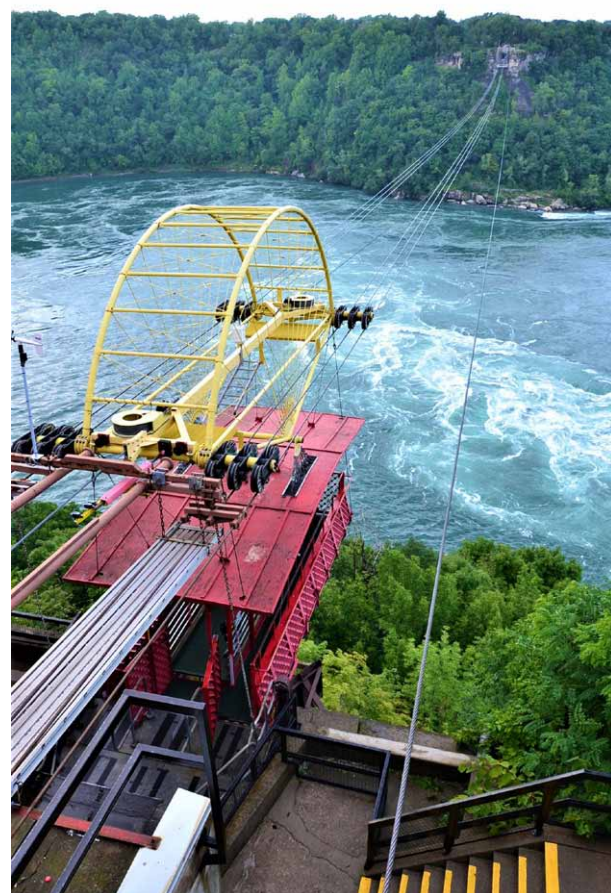


Kanadyjskie Niagara Falls. Nam się nie podobało, ale *De gustibus...*

wyporności. Jedynym natomiast człowiekiem, o którym można powiedzieć, że pokonał Niagarę wpływ, był blisko 60 lat później 9-letni chłopiec. Latem 1960 r. pływał on wraz z siostrą i jeszcze jednym mężczyzną powyżej kaskady łódką, która się przewróciła. Dziewczynę zdołano pochwycić, pozostałych dwóch nieszczęśników prąd zniósł nad wodospad. Po kilkudziesięciometrowym locie wpadli w głębię, z której wypłynął jedynie chłopiec – dzięki kamizelce ratunkowej o sporej wyporności.

Po powrocie „na ląd” rozglądamy się wreszcie i po lądowej stronie wodospadów. Powyżej „Table Rock Welcome Center”, za wielkim parkingiem dla autokarów, na wysokiej skarpie, na którą wywozi oryginalny funikular, wyrasta las wysokich budowli. Wśród nich, niespełna 200 m od Wodospadu Podkowy, wznosi się jak potężna maczuga wysoki na 99 m Tower Hotel. Zbudowany w 1962 r. jako pierwsza z wysokich budowli umożliwiających obserwację wodospadów do 2010 r. był sponsorowany przez firmę Minolta i do dziś jest popularnie nazywany Minolta Tower. Obok niego cały rząd innych – i większych hoteli – zapewne za pokoje z widokiem na wodospad płaci się według osobnego cennika!

Decydujemy się jeszcze na dłuższy spacer w dół rzeki. Wielka misa w miarę spokojnej wody pod wodospadami ciągnie się na długości blisko 4 km. Poniżej niej następuje ok. kilometrowej długości odcinek bystrzy zwanych Lower Rapids, poniżej których rzeka skręca gwałtownie w prawo, rzeźbiąc przy tym w naszym (lewym) brzegu głęboką zatokę. W tym kotle o średnicy ok. 400 m i głębokości 38 m część wód Niagary wiruje jak w wirówce – i też tak nazywane jest to miejsce: Whirlpool. Aby chętni mogli jak najlepiej przyjrzeć się owej wirówce, w 1916 r. została zbudowana niezwykle oryginalna kolej linowa zwana „Whirlpool Aero Car” albo „Spanish Aero Car”. Ta druga nazwa pochodzi stąd, że konstruktorem kolei był hiszpański inżynier Leonardo Torres y Quevedo (1852-1936). To jedyna taka konstrukcja na świecie: wagonik zabierający 35 pasażerów porusza się po dwóch równoległych zestawach lin, po 3 liny w każdym.



„Spanish Aero Car”. Wbrew temu co widać, trasa kolei wiedzie z kanadyjskiego brzegu Niagary na... brzeg kanadyjski, choć tranzytem przez terytorium USA!

Kto ma lęk przestrzeni, może ten fragment obejrzeć z lądu. Zbocza całego przełomu po kanadyjskiej stronie obejmuje rezerwat przyrody Niagara Glen Nature Reserve zarządzany przez Niagara Parks Commission (o której niżej). Na jego terenie urządzono kilka punktów widokowych połączonych kilkoma kilometrami ścieżek.

Podczas spaceru Andrzej zwraca naszą uwagę na charakterystyczne rozmieszczone tu i ówdzie niebieskie tablice. Wyczytałem z nich, że w 1885 r. powołana została jako agencja rządu prowincji Ontario Niagara Parks Commission zarządzająca brzegami rzeki Niagara po stronie kanadyjskiej, w tym kanadyjską stroną wodospadu. Na jej czele stanął polski imigrant Kazimierz Gzowski (1813-1898). Zaproponował on m. in. utworzenie na tym terenie ogólnodostępnego parku o powierzchni 118 akrów (0,48 km²). Propozycja przeszła i Queen Victoria Park został oficjalnie otwarty dla publiczności 24 maja 1888 roku w urodziny królowej Wiktorii.

Sunąc szeroką aleją tego parku, zastanawiam się, jak mało wiemy w Polsce o Kazimierzu Gzowskim! Kolega Słowackiego z liceum krzemienieckiego zmuszony do emigracji po upadku powstania listopadowego w Ameryce – dzięki inteligencji i pracowitości – zrobił karierę, która powinna go stawiać w jednym rzędzie z Kościuszką i Pułaskim. Inżynier, budowniczy kolei, mostów i tzw. Drugiego Kanału Wellandzkiego. Prawnik, przedsiębiorca, polityk, filantrop, działacz społeczny, w końcu administrator kanadyjskiej prowincji Ontario i wysoki urzędnik kościoła anglikańskiego. Jako pierwszy mieszkaniec brytyjskich kolonii został mianowany adiutantem królowej Wiktorii i uzyskał tytuł szlachecki.

– Był wolnomularzem i jednocześnie współzałożycielem anglikańskiego seminarium duchownego Wy-cliff College, w którym przez 15 lat pełnił funkcję prezesa i przewodniczącego rady wykonawczej – ciągnę na głos.

– Do tego przez jakiś czas pełnił funkcję inżyniera okręgowego w London i w latach 1841-1849 mieszkał w naszym mieście! – dorzuca z dumą Andrzej.

– No, prawie sąsiad! – kończę. Po cichutku...

Dochodzimy właśnie do wielkiego zegara kwiatowego. Wzory na jego tarczy są zmieniane dwukrotnie w ciągu sezonu, a do ich ułożenia używa się jednorazowo nawet 16 tysięcy sadzonek! Wieża z tyłu tarczy mieści mechanizm zegara oraz carillon odzywający się co kwadrans. Jeszcze tylko pamiątkowe zdjęcia „na tle” – i możemy wracać. W drodze powrotnej zwracamy uwagę na zbudowaną w 1965 r. wysoką na 160 m Skylon Tower. Usytuowana na wysokości 143 m obrotowa restauracja Revolving Dining Room (276 miejsc, 1 obrót na godzinę) pozwala podczas posiłku obejrzeć dookólną panoramę. Oprócz wodospadów przy dobrej widoczności widoczne są stąd z jednej strony jezioro Erie, a z drugiej Toronto! Zaglądamy również na chwilę do rozrywkowej dzielnicy Niagara Falls, gdzie ze wszystkich stron ostrymi barwami i głośną muzyką atakują nas reklamy najprzeróżniejszych atrakcji (zwykle miernej klasy...) i gdzie udaje się nam coś przegryźć.

Pobytek nad Niagarą kończymy wizytą we wspomnianym na początku pierwszej części relacji kasynie. Nie szukamy wielkich wygranych, przeznaczając z góry na straty po kilkanaście dolarów, lądujemy w wielkiej sali z automatami. Przez ponad godzinę gramy za drobne kwoty na różnych maszynach. Najbardziej podoba mi się możliwość obserwowania innych graczy. Niektórzy podchodzą do rzeczy śmiertelnie poważnie, tłukąc coraz mocniej w przycisk, inni – jak widać – znakomicie się bawią, popijając kawę lub lekkie drinki i obserwując wirujące w okienkach wisienki, grzybki czy zajączki. Z założenia ulokowaliśmy się w tej drugiej grupie – i było warto! Ostatecznie wychodzimy nieznacznie na plusie – sumaryczna wygrana wystarcza prawie na opłacenie parkingu. A to oznacza, że z „czystym kontem” możemy wyruszyć na poszukiwania kolejnych cudów Kanady!



Skylon Tower. Trzy zewnętrzne windy konstrukcji słynnej firmy Otis były w 1965 r. pierwszymi takimi urządzeniami w Kanadzie

Mirosław J. Barański

Šomoška – średniowieczna warownia na bazaltowym neku

Zamki lokowano w trudno dostępnym terenie. Doskonałym miejscem były wysokie i strome wzniesienia, co miało strategiczne znaczenie. Jednym z takich miejsc są wulkaniczne neki. Na takiej właśnie lokalizacji zbudowano w średniowieczu warownię Šomoška. Znajduje się ona obecnie na południu Słowacji, kilkanaście metrów od granicy z Węgrami. Są to południowo-wschodnie skrawki okresu Lučenc w kraju bańskobystrzyckim. Geograficznie zamek Šomoška wchodzi w obręb pogórza Cerová Vrchovina na Północnowęgierskim Średniogórz w Wewnętrznych Karpatach Zachodnich.

Nek jest wyniosłym wzniesieniem o stromych stokach i ma wulkaniczną genezę. Miejsce to stanowi dawny komin wulkanu, którym podczas erupcji wydobywała się magma na powierzchnię ziemi. Gdy została ona i skrzepła wewnątrz litosfery, komin wypełnił się twardą skałą wulkaniczną. Tak właśnie wykształciły się neki bazaltowe. Ta wulkaniczna skała tworzy często cios słupowy, który powstaje podczas oziębiania i krzepnięcia lawy. Wtedy kurczy się ona tworząc 5-6 boczne kolumny. Ich przebieg nawiązuje do kierunku płynięcia magmy w dawnym kominie wulkanicznym. Omawiane słupy bazaltowe występują także w neku pod twierdzą Šomoška. Tworzą one w podłożu tzw. skalny wodospad, który widoczny jest od północnej strony wzgórza zamkowego.

Twarde bazaltowe skały z wulkanicznego neku wykorzystane zostały do budowy warowni. Widoczne są one w ścianach fortyfikacji, które wyglądem przypominają plaster miodu. W miarę foremne skały pochodzące z bazaltowych słupów ułatwiały wznoszenie murów. Budowy zamku na przełomie XIII i XIV wieku podjął się ród Kacsicsok. Pod koniec XVI stulecia warownia znalazła się we władaniu Turków. Przez ćwierć wieku strzegła ona północnych rubieży Imperium Osmańskiego. Na początku XVIII wieku zamek Šomoška opanowali z kolei kuruce w czasie powstania Rakoczego. Antyhabsburski zryw zbrojny został stłumiony, a twierdza oblężona i zdobyta przez wojska cesarskie popadła w ruinę. To był koniec świetności zamku na bazaltowym neku.

Ruiny zamku Šomoška tworzą dziś fragmenty zewnętrznych ścian budynków, murów i baszt. Twierdza posiadała dwie masywne wieże – od zachodu i południowo-wschodu oraz barbakan od strony północnej.



Bazaltowe słupy neku



Mury zamku wzniesione na bazaltowych słupach

Obecnie najlepiej zachowana jest zachodnia baszta balistyczna nakryta drewnianym dachem. Przy północnych i południowych murach obronnych znajdowały się korytarze obronne, zaś środkową część warowni tworzył dziedziniec, który od strony północnej i wschodniej otaczały niewielkie budynki zamku. Wejście do twierdzy było od północy przez barbakan, za którym była jeszcze ulokowana brama do górnego zamku.

Odwiedzając zamek, nie sposób pominąć obiekty turystyczne znajdujące się u jego podnóża. Na terytorium Słowacji są to naturalne elementy krajobrazu, zaś po stronie węgierskiej walory mają antropogeniczną genezę. Na północnym skłonie nekowego wzgórzka zamkowego znajduje się – wspomniany już wcześniej – kamienny wodospad. Widać tu prawie pionowo wznoszące się słupy bazaltów, które łagodnym łukiem nachylają się w górnej części w stronę południową. Idąc wzdłuż ściany – gdzie prowadzi ścieżka turystyczna – dostrzega się też w górnej części skalnego wodospadu wiszące słupy bazaltowe. Od dołu z łatwością dostrzec można ich sześcioboczne kształty. Łagodnie opierają się one na łuku innych słupów.

Na północnych pochyłościach podnóża zamku Šomoška znajduje się także gołoborze bazaltowe. Powstało ono w czasach peryglacjalnego klimatu, kiedy działały tu procesy zamrozu. Woda, wpływając w szczeliny skalne, zamarzała, gdy temperatura powietrza była ujemna. Wówczas ciecz powiększała swoją objętość i rozsadzała twarde słupy bazaltowe na mniejsze części. Tak powstało gołoborze. Ponadto rumosz skalny wzbogacony został przez człowieka odpadkami skalnymi, które nie nadawały się do budowy twierdzy na szczycie wzniesienia.

Na południowych – węgierskich – skłonach wulkanicznego neku wzniesiono natomiast obiekty antropogeniczne. Są one ulokowane tuż obok granicy państwowej. Jednym z nich jest drewniany budynek z muzeum Petőfi-kunyhó. Mowa tu o chacie Sándor'a Petőfi, który był XIX-wiecznym poetą i bojownikiem o suwerenność Węgier. W sąsiedztwie izby muzealnej stoi pomnik z popiersiem hrabiego Lajos'a Batthyány, który w 1848 r. został pierwszym premierem Węgier. W jego pobliżu postawiono także obelisk poświęcony pamięci profesora Geza Krepuska, znanego lekarza otolaryngologa. Miejsca pamięci pod zamkiem Šomoška mają więc duże znaczenie patriotyczne dla Węgrów.

Do przygranicznego zamku na neku dotrzeć można zarówno od Słowacji jak i Węgier. Na węgierskiej stronie u podnóża wzniesienia tuż obok linii granicznej znajduje się niewielki parking samochodowy.



Ruiny zamku i zachodnia baszta



Panorama z zamku Šomoška (na widokregu na najwyższym punkcie ruiny Salgói vár)

Z niego wiedzie ścieżka na Słowację w stronę twierdzy i kamiennego wodospadu. Parking znajduje się w osadzie Somoskő należącej administracyjnie do miasta Salgótorján. Najłatwiej jednak dotrzeć pod opisywany zamek od węgierskiej strony drogą z Somoskőújfalú. Wówczas wystarczy skręcić na wschód z drogi nr 21 łączącej tu Lučenec z Salgótorján.

Na terytorium Słowacji dojście do zamku Šomoška jest trochę dłuższe. Droga wiedzie tu od miejscowości Šiatorská Bukovinka i prowadzi do parkingu w dolinie potoku. Przy postoju znajduje się niewysoka kamienna rotunda nosząca nazwę Šimonova veža, w której urządzono punkt informacji turystycznej. Z parkingu poprowadzona została ścieżka dnem doliny przez liściasty las w stronę zamku Šomoška. U podnóża warowni dociera się najpierw do gołoborzy, a następnie kamiennego wodospadu, a dopiero później do obronnej budowli na bazaltowym neku.

Z zamku roztacza się też piękna panorama na Północnowęgierskie Średniogórze. W krajobrazie dominują łagodne formy terenu, które porastają w większości lasy bukowe. Na widnokręgu na południu ponad zabudowaniami Somoskő widać wyniosłe wzniesienie z ruinami zamku Salgói vár. Ta średniowieczna warownia wzniesiona została również na bazaltowym neku.

Krzysztof Miraj



Zamek Šomoška od strony południowej



Popiersie hrabiego Lajos'a Batthyány pod zamkiem Šomoška



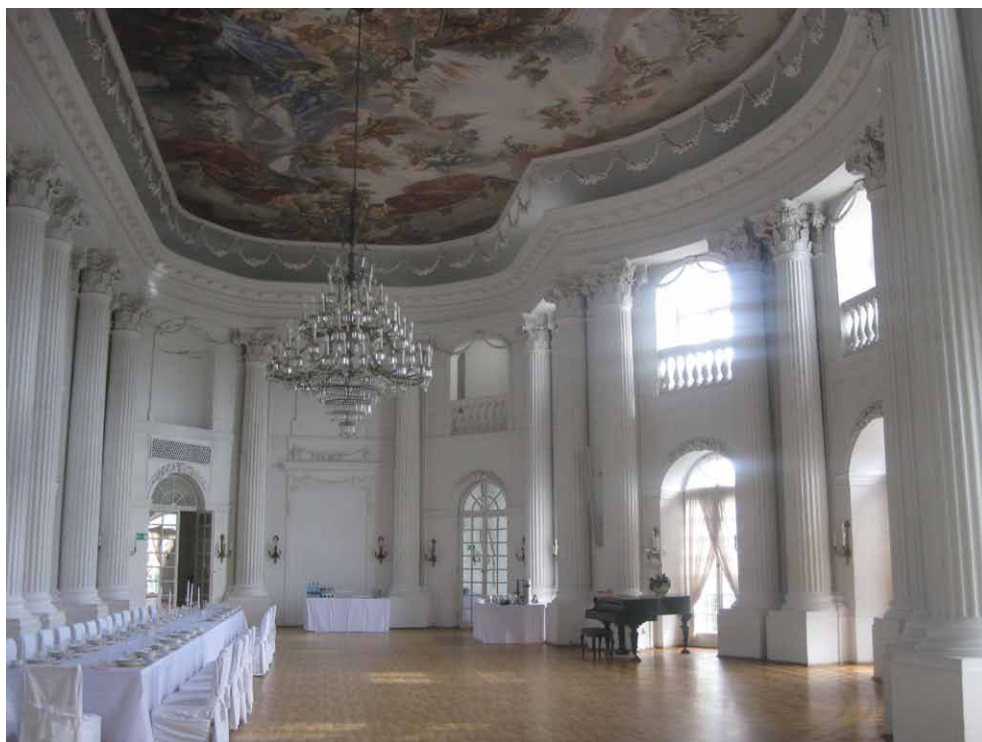
**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Cecylka zaprasza do Rawicza

Każde nasze Krajoznawcze Spotkanie Rodzinne, jak tylko sięgam pamięcią, jest z jakichś względów, lub chociażby nawet tylko jednego, jedyne w swoim rodzaju, nacechowane niezwykłymi przymiotami i też niespotykanymi okolicznościami. Po kolei. Spotkanie w Rawiczu było planowane już od jakiegoś czasu – miała je zorganizować Bożena, nasza przyjaciółka, zżyta z naszą Rodziną od wielu lat. Nasze plany spotkaniowe wybiegają na 2 – 3 lata naprzód, więc Bożenka musiała cierpliwie czekać. No i nie doczekała się, niestety – od listopada 2019 roku jest już na niebieskim spotkaniu rodzinnym. Ale tu, na Ziemi, życie trwa dalej. Przyjaciółka Bożenki – i nasza też – Cecylia postanowiła wykonać pracę za Bożenkę i przygotowała program spotkania w Rawiczu. Nie udało się z powodów epidemicznych zrealizować go w pierwotnym terminie, ale na początku lata 2020 r. już mogliśmy zjechać do Rawicza. Ale się cieszyliśmy. Dodatkowym smaczkiem tego 46. już spotkania był swoisty jubileusz – doliczając cztery spotkania letnie, to w Rawiczu było 50-ym naszym spotkaniem. Godny jubileusz – dla naszej Bożenki!

Na spotkaniu było nas mniej niż zwykle. Cóż, my wszyscy praktycznie z racji wieku jesteśmy w tzw. grupie ryzyka, więc niektórzy z nas są ostrożniejsi. Ale i tak było nas 17, więc frekwencja wcale nie taka mała. Trochę odwróć kolejność zdarzeń, gdyż chcę najpierw powiedzieć o wydarzeniu dla nas najważniejszym. W piątek, pod wieczór, spotkaliśmy się z Bożenką na cmentarzu. Sławek, przy aprobacie nas wszystkich, wprowadził obyczaj żegnania naszych Przyjaciół naszymi piosenkami. Tak było i teraz – przy dźwiękach gitary zaśpiewaliśmy Bożenie, a wierzę, że razem z nią nasze koronne piosenki – „Gonić marzenia”, „Koronę gór” Marysi Baszuro i „Pieśń zdobywców Korony” Sławka. Wiemy, że Bożenka była wzruszona, my też, trudno śpiewa się ze łzami w oczach i ściśniętym gardłem.

Program krajoznawczy spotkania, jak zwykle dość mocno napięty, zaczęliśmy realizować w piątkowe popołudnie w Rydzynie. Głównym obiektem, którym zaczęliśmy zwiedzanie, był oczywiście zamek. Pani przewodniczka rozkochana w zamku i w jego głównym właścicielu – mówiła o nim pieszczotliwie „król Staś” – królu Polski Stanisławie Leszczyńskim, z właściwym sobie znanstwem tematów i animuszem omówiła historię zamku i jego kolejnych właścicieli. Zapamiętałem, że zamek istniał już w XV wieku, że był budowany, przebudowywany i rozbudowywany wielokrotnie na przestrzeni co najmniej trzech wieków, a ostatnio już w latach 70-ych XX w. Głównymi architektami byli Włosi Bellotti i Ferrari (z czym dziś kojarzy się to nazwisko?), a głównymi właścicielami rody Leszczyńskich i Sułkowskich. „Król Staś” rezydował tu w latach 1705-1709 i 1733-1736, by następnie odstąpić zamek Sułkowskim, rodowi wielce zasłużonemu i dla Polski, i dla Rydzyny. W zamku wzrastał w duchu patriotyzmu późniejszy adiutant Napoleona książę Józef Sułkowski. Zamek trwał w służbie Polsce, kolejni jego właściciele zapisywali się



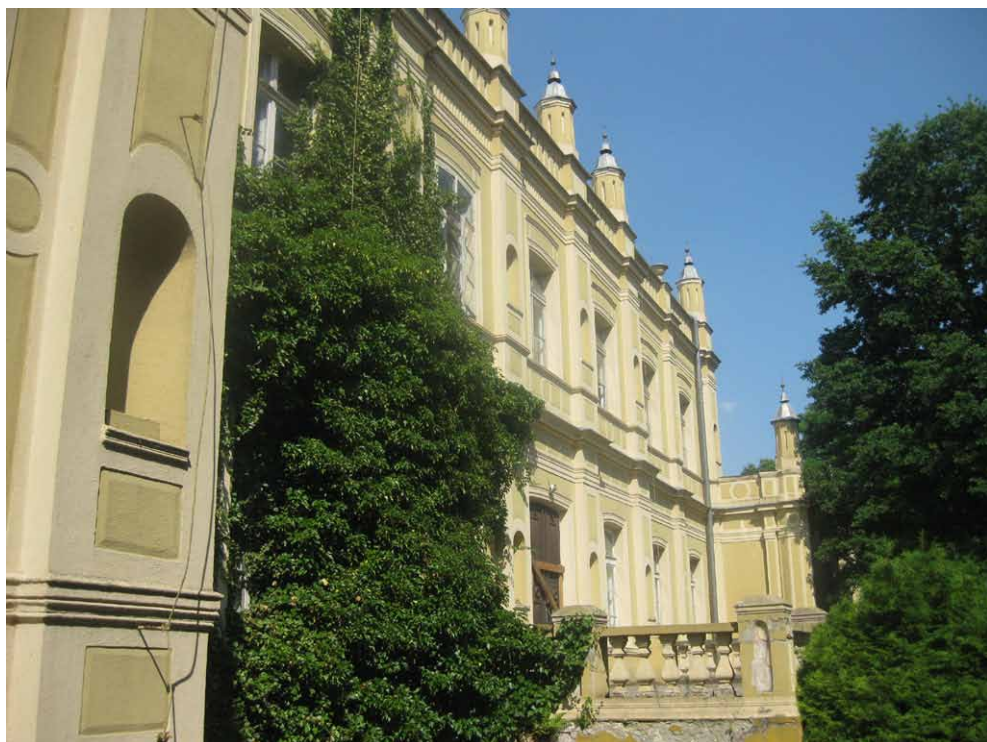
Sala Kolumnowa w Zamku w Rydzynie

złotymi zgłoskami w jej historii. Już w latach 20. i 30. XX wieku funkcjonowała tu szkoła średnia, która wychowała wielu wybitnych naukowców, twórców kultury, nauczycieli, publicystów. I gdy wydawało się, że zamek przetrwał dzielnie okres zawieruchy wojennej, w styczniu 1945 roku Rydzynę „wyzwolili” Sowieci, którzy na deser... spalili zamek! Długo trwało zanim odzyskał dawną świetność. Co zobaczyliśmy, co usłyszeliśmy to nasze, możemy dziś zachęcać do zwiedzania Rydzyny i jej perły – zamku.

Piątkowy wieczór poświęciliśmy Bożence. Po powrocie z cmentarza i ochłonięciu zasiedliśmy do stołów ze śpiewnikami i wielką ochotą do pobycia razem. Jakoś jednak nastroju do hucznej zabawy nie było. Bogda przygotowała prezentację ukazującą Bożenę na kolejnych naszych spotkaniach. Zaśpiewaliśmy ledwie kilka piosenek. Dlaczego akurat o tym piszę? Już odpowiadam. Bo my żyjemy z sobą! Nasze wspólne pasje – chodzenia po górach, poznawania naszego kraju, pokazywania swoich małych ojczyzn sprawiają, że stajemy sobie coraz bliżsi. Wędrujemy po kraju już nie tylko po to, by go poznawać, ale coraz bardziej po to, by siebie poznawać. Kto wie, czy celem naszych wędrowek nie jest poszukiwanie przyjaźni! Ja – niżej podpisany – coraz częściej przyłapuję się na tym, że przyjeżdżam na nasze spotkania nie tylko już po to, by „zaliczać” nowe miejsca, kolejne zabytki, lecz głównie po to, by spotkać się z przyjaciółmi. I z chęcią dopisałbym do wspaniałego hasła protoplasty polskiej turystyki Aleksandra Janowskiego „Poznaj swój kraj” – „Poznaj ludzi, zaprzyjaźnij się z nimi”! My, członkowie naszej Rodziny (specjalnie piszę wielką literą) wędrujemy, owszem, by poznawać nasz piękny kraj, ale coraz częściej po to, by bardziej poznawać siebie i zacieśniać przyjaźń. Kto wie, może w jakiejś dającej przewidzieć się przyszłości będzie to jeden z celów wędrowania zapisywany w statutach organizacji turystycznych. Przydałoby się to naszemu krajowi i Polakom!!!

Sobota w naszym programie spotkań rodzinnych to zwykle objazdówka autokarowa. Cecylia przygotowała ambitny program. Rozpoczęliśmy od rezerwatu „Dębno”. Na 8 hektarach chroniony jest od 1961 roku ekosystem lasu mieszanego z pomnikowymi okazami ponad dwustuletnich dębów zamieszkiwanych przez kozioroga dębosza. Ekosystem był mocno podmokły, prędko się wycofaliśmy, kozioroga nie zobaczyliśmy, ale przypomniało się nam niedawne spotkanie na pobliskich „Stawach Milickich”, gdzie znakomita biologka Aleksandra Wasińska pokazała nam onego i dużo o nim opowiadała. Coś z tych naszych spotkań rodzinnych zostaje jednak w naszych coraz bardziej omdlewających pamięciach! A potem przejechaliśmy do Golejewka, wsi niewielkiej, ale o najstarszej – pod datą 1136 – na ziemi rawickiej metryce. Po niedługim mało wymagającym przejściu przed naszymi oczyma ukazał się pałac, brama, a trochę dalej zabudowania gospodarcze. W nich gospodaruje Stadnina Koni „Iwno” znana z hodowli koni pełnej krwi angielskiej. Koni nie widzieliśmy, ale wspomnieliśmy niedawną wizytę w stadninie w Janowie Podlaskim – araby dały się obejrzeć. Z daleka pałac wygląda okazale, jest ogromny. Im bliżej byliśmy, tym bardziej dostrzegaliśmy ruinę tej niegdyś wspaniałej z 1. poł. XVII w. rezydencji rodu Choińskich. Ruina jest niezabezpieczona, widać ślady grabieży wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość.

Na zapadających się korytarzach i w salach widzieliśmy ślady po jakimś chyba pegeerze, na podłogach gnijące gumolity, potłuczone kafelki w byłych łazienkach, połamane krzesła, podłogi i sufity grożące zawaleniem... Chyba już nic nie uratuje tego pałacu przed ostatecznym rozpadnięciem się. Tym bardziej, że remont jest już chyba niemożliwy i nieopłacalny, a nikt nie da przecież środków na jego rozbiórkę. Przyszłością więc tego pałacu jest chyba to, że na jego przykładzie architekci i historycy będą śledzić proces rozkładu budowli. Smutna to perspektywa. I nam było smutno,



Pod pewnym kątem pałac w Golejewku wciąż wygląda całkiem okazale

bo przecież nie na taki chyba los zasłużył ten wspaniały ongiś pałac i piękny park wokół niego. Wczoraj zobaczyliśmy coś zupełnie odwrotnego, więc od razu, jak to u nas, rozgorzała dyskusja na temat: co by było, gdyby Choiński był królem Polski? Cóż, na małym obszarze poznaliśmy dwa przykłady potwierdzające, że budowle mają swoje różne losy! Nie spieszyło się nam z odjazdem, łaziliśmy po zapadających się wnętrzach, próbowaliśmy odtworzyć w myślach dawny przepych. Mieliśmy jednak przed sobą kilka punktów programu, więc trzeba było trąbić wsiadanego. Całkiem prywatnie pomyśla-



W Sarnowej nawet uliczki to zabytki

łem sobie, że jeszcze tu kiedyś zajrzę i ocenię tempo upadku tego pałacu. Może zdążę... Czeką nas podobny los, chociaż... ten pałac ma przed sobą jednak dłuższą perspektywę!

Kolejne przystanki w naszej wędrówce po rawickiej ziemi to Miejska Górka i Sarnowa. Miejska Górka to wspaniały przykład heroicznej walki Polaków o niepodległość w powstaniu wielkopolskim, dziś działa tu prężne Towarzystwo Powstańców i Wojaków. A Sarnowa, dziś dzielnica Rawicza, to właściwie odrębne miasteczko z własnym, zabytkowym ratuszem. Krótkie zwiedzanie rynku i pobliskich urokliwych uliczek Sarnowej było miłym wstępem do wędrówki po Rawiczu. Właściwie był to piękny, letni spacer po wspaniałym, całkiem nietypowym zabytku. Rawicz jak większość miast był w dawnych wiekach miastem ufortyfikowanym. Gdy mury i inne tego typu urządzenia obronne okazały się w związku z postępem sztuki wojσκowej zbędne, zrezygnowano z nich, ale nie tak całkiem. Chwała za to tym dawnym włodarzom miasta, którzy już w połowie XIX wieku podjęli myśl, by fortyfikacji do końca nie burzyć, a stworzyć z nich... planty. Cóż za wspaniały pomysł! Dzięki tamtym chwalebny decyzjom Rawicz chlubi się dziś prawie najdłuższymi plantami w Polsce (Kraków ma dłuższe, ale gdyby zastosować proporcje?). To naprawdę niezwykły zabytek dziś noszący imię naszego Papieża. Wzdłuż plant, na całej ich długości – a to ponad trzy kilometry – jest dużo miejsc godnych omówienia, ale to już wykracza poza ramy tego artykułu. Wspomnę tylko rzeźbę niedźwiedzia widniejącego w herbie miasta. A już całkiem prywatnie wspomnę mój pobyt tu na koloniach w roku 1967. Niewiele pamiętam, ale kąpiele w basenie miejskim usytuowanym naprzeciwko więzienia tak. Taplaliśmy się beztrąsko, a w oknach, na kratkach tkwili więźniowie i pewno nam zazdrościli. Więzienie stoi jak wtedy i pewno jeszcze długo postoi, a basenu... nie ma. Został zasypany i zabrukowany. Widocznie miejsca do zabawy są mniej pożądane niż miejsca... do siedzenia. Cóż, smutna to konstatacja, na szczęście tylko moja, na koniec pobytu w Rawiczu. Na szczęście ostatnie wrażenie jest najważniejsze, a nam pozostanie w pamięci smak pierogów wieńczących nasze spotkanie i kusząca perspektywa kolejnego spotkania, tym razem w górach. Nie damy się koronawirusowi! Spotkamy się znów na szlaku!

Sławomir Chojnacki

NA SZLAKU
www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Za nami Żabnica, przed nami Zawoja

Na sezon 2020/21 Komisja Turystyki Narciarskiej ZG PTTK nie ogłaszała kalendarza imprez narciarskich, wiadomo – pandemia koronawirusa zamieszała także w turystyce. Odbyło się jednak kilka „prywatnych” imprez turystycznych na Jurze, w Beskidzie Sądeckim i w Beskidzie Żywieckim. Taką było XXI Spotkanie Śladowe Czytelników i Sympatyków „Na Szlaku”. Odbyło się w Żabnicy Skałce w dniach 4-7 marca.

To już 21. raz spotkali się turyści-narciarze, by kultywować tradycyjne narciarstwo turystyczne, a raczej turystykę narciarską. Nie ulegając nowym modom, trendom i technologiom (tzw. skitury) wędrowaliśmy górskimi szlakami na śladówkach, znacząc swoje ślady na uczęszczanych szlakach i w nietkniętych śniegach hal i polan. Miało nas być 14 osób, ale niepewność co do bezpieczeństwa w trudnym covidowym czasie, ale i wcześniejsze kontuzje wyeliminowały kilka osób, co sprawiło, że do Żabnicy Skałki przybyło nas dziewięcioro i przesympatyczny piesek Niko. Spotkanie trwało od 4 do 7 marca z tym, że dwie osoby przebywały w okolicy już wcześniej i dotarły do bazy przez góry.

W dniu rozpoczęcia spotkania pogoda dopisywała, choć nie do końca, wieczorem zgodnie z prognozą pojawiły się chmury i drobna mżawka, potem wraz ze spadkiem temperatury zaczął padać śnieg. Uczestnicy, którzy przyjechali wcześniej, czyli „sekcja śląsko-jurajska”, odbyli już długi spacer jedną z dolin odchodzących od Skałki. Następnego dnia rano, przy padającym wciąż śniegu, ruszyliśmy w góry. Pogoda nie zachęcała do dłuższej całonocnej wędrowki, podobnie stan śniegu. Celem była stacja turystyczna Słowianka, gdzie mieliśmy zdecydować o dalszej wędrowce. Początkowo skorzystaliśmy z czarnego szlaku letniego do spotkania szerokiej drogi stokowej odchodzącej z doliny w prawo na zbrocza. Niewielka i nierówna pokrywa śnieżna nie przeszkodziła w użyciu nart, choć miejscami trzeba było je zdejmować. Po prostu miejscami drzewa zasłaniały opad i tego śniegu było za mało, by posuwać się na nartach. Droga stokowa umożliwiła ominięcie odcinka szlaku podchodzącego stromo z doliny. Stokówką doszliśmy do spotkania czarnego szlaku, którym doszliśmy bezpośrednio na Słowiankę. Tam spędziliśmy sporo czasu, racząc się herbatą i kawą. Dla turystów przechodzących przez Słowiankę dostępna jest spora sień (ogrzewana) ze stołem i ławami, gdzie można odpocząć i posilić się. Padający wciąż mokry śnieg i kiepska widzialność zniechęcały do dalszej wędrowki np. na Romankę. Poszliśmy zatem grzbietem w kierunku Romanki na Suchy Groń, z którego drogą przez wysoko położone osiedle Płone powędrowaliśmy do Żabnicy Skałki. Już na dole, a zesliśmy przed godz. 16, odwiedziliśmy miejscowy sklepik, by uzupełnić dietę o różne „zachciewajki”, wszak wikt zapewniały nam gospodynie kwatery. Tu podziękowania dla pań sporządzających smakowite dania. Wieczorem śnieg przestał padać i zaczęła spadać temperatura, zaś niebo pokryło się gwiazdami. To zapowiadało piękny turystyczny dzień. Liczyliśmy na dobry nośny śnieg, w ciągu dnia spadło go ok. 10 cm, co w połączeniu z poprzednią pokrywą śnieżną i lekkim mrozem dobrze wróżyło wędrowaniu na nartach.

Rzeński mroźny poranek zapowiadał piękny dzień. Po śniadaniu, około godziny 9-tej wyszliśmy z naszej bazy drogą (czarny szlak) w kierunku przełęczy pod Boraczą. Na przełęczy i skraj Hali Boraczej doszliśmy „na butach”, ponieważ tak było bezpieczniej – jest to droga prowadząca do wysoko położonych domostw, po której jeżdżą samochody. Jest tam dość wąsko, łatwiej było zrobić miejsce



Przed wyjściem w góry

samochodowi wylaniającemu się z za-
krętu idąc, a nie jadąc na nartach. Nar-
ty przypięliśmy przy węźle szlaków na
skraju hali. W prawo można było iść do
pobliskiego schroniska PTTK, w lewo
na Lipowską lub Rysiankę. Część ekipy
udała się w prawo, ale celem było nie tyl-
ko schronisko, także niedaleki Prusów.
Druga część ruszyła zielonym szlakiem
trawersującym Redykalny Wierch, Bo-
raczy Wierch i Lipowską do schroniska
na Hali Lipowskiej. Idąc, mieliśmy przed
sobą wspaniałe widoki na majestatyczną
Romankę, Przełęcz Pawłusią, wierzchoł-
ki Rysianki i Lipowskiej. To, oczywiście,
w pierwszej części trasy, później Rysian-
ka i Lipowska zniknęły z pola widzenia.
Długi czas szliśmy wygodnym wznoszą-



Na stokówce pod Słowianką

cym się trawersem, później zagłębiliśmy się w las, gdzie czekał ciekawy odcinek pod wychodniami skalnymi. Jest tam zimną wąską przejście po jednej stronie skały, po drugiej niemal pionowe zbocze. Trzeba było dobrze uważać, bo jakiś fałszywy krok, niekontrolowany uślizg mógłby spowodować kilkudziesięciometrowy upadek. Latem jakoś się tego nie widzi, ekspozycję maskuje roślinność. Pod koniec trawers nabiera stromizny, wreszcie szlak skręca ostro w prawo na zbocze tuż pod szczytem. Przez las doszliśmy do grzbietu, do spotkania żółtego szlaku podchodzącego z Rajczy na Lipowską. Szeroką grzbietową drogą, często skrajem hal, doszliśmy do schroniska. Jeden z kolegów poszedł jeszcze odwiedzić schronisko na Rysiance. Po odpoczynku ruszyliśmy w drogą powrotną wspomnianym żółtym szlakiem do węzła szlaków na skraju Hali Redykalnej i w dół czarnym szlakiem na Boraczą. Potem w dół do Skałki. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie „stada sobotnich turystów” na quadach i skuterach śnieżnych. Spotykaliśmy grupy po 3, 5, a nawet 7 pojazdów.

Trasę na Lipowską i Rysiankę przebyło 5 osób, pozostali „operowali” w rejonie Boraczej i Prusowa, poznali także widokowy grzbiet odchodzący z Boraczej przez osiedle Sznurki. Przejście tym grzbietem daje piękne widoki na Romankę i Przełęcz Pawłusią oraz grupę Rysianki i Lipowskiej.

Wieczorami, już po kolacji, spotykaliśmy się na posiadach, rozmawialiśmy o szkoleniu turystów-narciarzy, o kursach pierwszej pomocy na szlakach, o sprawach przodowników turystyki narciarskiej. Oglądaliśmy także zdjęcia i filmy z poprzednich Spotkań Śladowych oraz tegorocznych wypadów narciarskich. Postanowiliśmy kontynuować Spotkania, a spośród kilku proponowanych lokalizacji sudeckich i beskidzkich wybraliśmy Zawoję i Chatę pod Kwiatkiem. Obiekt jest kilkadziesiąt metrów od sklepu i przystanku busów, co zapewnia zaopatrzenie i dojazd. Oczywiście nie wiemy, jak rozwinie się sytuacja z pandemią, ale pomyśleć nie zaszkodzi. Tymczasem gospodyniom kwatery dziękuję za gościnę, a uczestnikom za chęć i odwagę, by przyjechać na Spotkanie. Myślę, że było udane. A myśląc o przyszłości, zapraszam za rok do Zawoi.

Juliusz Wystouch



Niko prowadzi na Boraczą

Karpaty i Sudety

W listopadzie 1948 roku na rynku ukazała się publikacja „Karpaty i Sudety” wydana nakładem Wydawnictwa „Wiedza Powszechna”. Jest to II zeszyt wydany w ramach cyklu „Ziemie polskie”. W sumie w cyklu zaplanowano osiem zeszytów obejmujących tematycznie wiadomości z geografii Polski oraz rolnictwa, leśnictwa, przemysłu, górnictwa, handlu, komunikacji i oświaty. Prezentowany zeszyt zawiera opisy Karpat i Sudetów z podziałem na Karpaty polskie, obniżenie podkarpackie oraz Sudety polskie. Autorem tekstu jest Jerzy Kondracki, a redaktorem Stanisław Tazbir i Leszek Klima.

Jerzy Kondracki przybliży we wstępie ogólny podział łańcucha górskiego, który tworzą Karpaty i Sudety. Oba pasma oddziela od siebie Brama Morawska, tak więc są wyraźne granice. I mimo że na pierwszy rzut oka krajobraz górski w obu pasmach jest podobny, to jednak różni się. Karpaty bowiem to góry lesiste, rozciągające się łukiem o długości 1400 km i szerokości dochodzącej nawet do 200-300 km. Sudety natomiast ciągną się na przestrzeni 300 km długości i 80 km szerokości. I mimo że zróżnicowanie krajobrazowe w Karpatach jest o wiele bogatsze, to jednak Sudety uważane są za góry „stare”.

Karpaty jako góry „młode” dzielą się na Karpaty Zachodnie i Wschodnie. Te pierwsze to pięć głównych łańcuchów, te drugie trzy. W granicach Polski znajduje się tylko część Karpat. Są to Beskidy, Podhale i Pieniny oraz Tatry. Pasma to otacza Obniżenie Podkarpackie, a na końcu znajduje się Brama Morawska oddzielająca, jak już wcześniej było wspomniane, Karpaty od Sudetów.

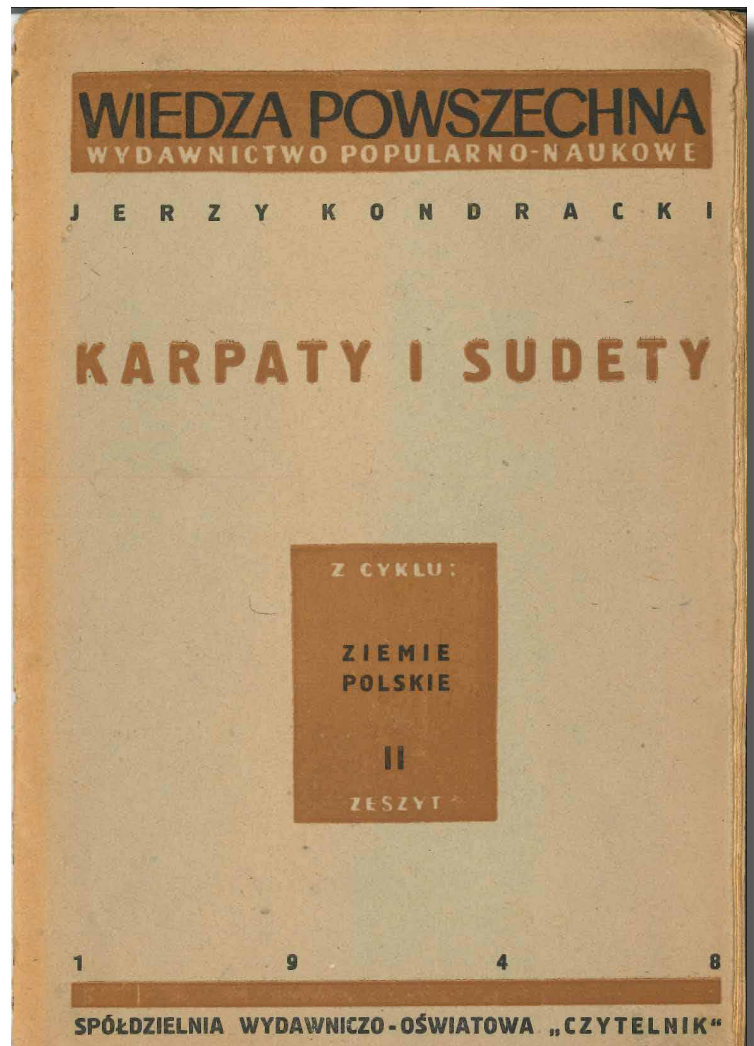
Ponieważ nasze zainteresowanie skupia się na terenach, na których mieszkamy, przyjrzymy się nieco bardziej części książki poświęconej temu pasmu gór. Sudety dzielą się na trzy części: Sudety Zachodnie, Środkowe i Wschodnie. Oczywiście nie wszystkie łańcuchy górskie wchodzące w skład Sudetów leżą w granicach Polski. Część z nich jest już poza nimi. Dotyczy to przede wszystkim Sudetów Wschodnich, które prawie w całości leżą po stronie czeskiej.

Jeśli chodzi o tereny otaczające Jelenią Górę, to kotlinę, w której usytuowano miasto, otaczają różne krajobrazowo pasma górskie. Od północy zamykają ją niewysokie Góry Kaczawskie, od wschodu Góry Łomnickie (Rudawy Janowickie), od południa Karkonosze z najwyższym szczytem całych Sudetów – Śnieżką 1603 m n.p.m., a od południowego zachodu Góry Izerskie.

By pokazać jak w roku 1948 postrzegano Karkonosze, posłużę się cytatem z omawianej publikacji. „... Karkonosze są najwyższą częścią Sudetów i mimo braku śmiałych szczytów i głębokich dolin noszą częściowo piętno gór wysokich przez to, że właśnie tu najlepiej dla całych Sudetów zachowały się ślady zlodowacenia, że grzbiet ich wznosi się ponad górną granicę lasu (która tu leży o 200-300 metrów niżej niż w Karpatach), że rośnie tu kosodrzewina i że na najwyższych wzniesieniach znajdziemy rumowiska gładów, a na zboczach tu i ówdzie przepaściste ściany”...

Mam nadzieję, że to krótkie streszczenie zawartości tej publikacji zachęci do sięgnięcia po nią.

Krzysztof Tęcza



Maurycy Beniowski

W cyklu artykułów o Polakach zasłużonych w badaniu Syberii i Dalekiego Wschodu przedstawiłem 29 postaci. Byli to głównie uczestnicy lub przywódcy powstań narodowych skierowanych przeciwko caratowi w XVIII i XIX wieku. W większości przybyli na Syberię jako zesłańcy, katorżnicy lub przymusowi żołnierze na skutek decyzji sądów albo carskiej administracji. Mimo trudnych warunków życia i ciągłego ucisku ze strony władz znaleźli w sobie wolę i chęć do poznawania pierwotnej przyrody i miejscowych ludów. Dzięki swoim cechom charakteru i wiedzy stworzyli dzieła, które na stałe wpisały ich do historii tych bezkresnych ziem. Na koniec cyklu artykułów, których publikacja w miesięczniku NA SZLAKU trwała prawie trzy lata, proponuję dziś opis niezwyklej i barwnej postaci Maurycyego Beniowskiego.

Urodził się 20 września 1746 r. w słowackim miasteczku Vrbové koło Trnavy jako syn Słowaka Samuela Beniowskiego – pułkownika huzarów węgierskich w austriackiej kawalerii i węgierskiej baronówny Rozalii Révay. Miał 12 sióstr i braci, w tym 4 siostry z wcześniejszych małżeństw ojca i matki. Gdy miał 10 lat, został przyjęty do szkoły kadeckiej, w wieku 16 lat rozpoczął służbę wojskową. Uczestniczył w końcówce wojny siedmioletniej.

Po wojnie Maurycy próbował zawładnąć majątkiem po matce, bo ojciec przed śmiercią przeznaczył go mężom swoich córek z pierwszego małżeństwa. Przy pomocy kompanów wojskowych Maurycy wygnał siostry z domu. Trafił pod sąd. Gdy groziła mu kara, uciekł do Polski. W 1768 r. we wsi Wielkanoc pod Miechowem zawarł związek małżeński w obrządku luterańskim z Anną Hönsch ze Spiskiej Soboty.

W 1768 r. zaangażował się w konfederację barską. Zapoznał się z Kazimierzem Pułaskim, otrzymał stopień kapitana husarii. Dwa razy został wzięty do niewoli rosyjskiej. Za pierwszym razem wypuszczono go na słowo honoru, że nie będzie więcej walczył, za drugim razem wraz ze szwedzkim majorem Adolfem WinblanDEM wysłano go do Kijowa, następnie do Kazania. Po próbie ucieczki, podczas której obaj dotarli aż do Petersburga, korzystając z ukradzionych dokumentów, otrzymali wyrok zesłania na Kamczatkę. W grudniu 1769 r. obaj saniami wyruszyli na wschód.

Podróż zesłańców przez całą Rosję zajęła 8 miesięcy. Choć jechali jako więźniowie pod strażą, w miejscach pobytu miejscowe władze odnosiły się do Beniowskiego z szacunkiem, bo przedstawiał się jako polski generał. Z Ochocka na Kamczatkę więźniów wieziono statkiem galeotą (żaglowiosłowiec, półgalera) „Święty Piotr”. Beniowski chciał w czasie sztormu zawładnąć statkiem, ale i tym razem ucieczka się nie udała, bo wiatr złamał maszt.

Do Bolszeriecka przybył we wrześniu 1770 r. Żyło tam wtedy 90 zesłańców i więźniów oraz w garnizonie 70 żołnierzy, z których 40-50 było ciągle w podróży. Beniowski zamieszkał u zesłańca porucznika Piotra Chruszczowa, który już 9 lat był w zsyłce. Przybyli mieszkali w prywatnych domach, bo władze zakładały, że stąd uciec się nie da. Dzięki swoim talentom towarzyskim Beniowski wkrótce stał się człowiekiem lubianym i poważanym w gronie zesłańców i więźniów, wśród których przeważali „polityczni” ze szlachty rosyjskiej. Potrafił nawet uzyskać przychylność komendanta kapitana Grigorija Niłowa, bo uczył jego syna.

Chruszczow, który został zesłany dożywotnio za obrazę majestatu Katarzyny II, podzielił się z Beniowskim swoim planem opanowania statku i ucieczki z Kamczatki. A wiedział którądy płynąć, bo miał książkę lorda George’a Ansona o podróży dookoła świata z lat 1741-44 z mapami i opisami. Beniowski potrafił wciągnąć w spisek więźniów, zesłańców, nawet kilku marynarzy oraz zimujących w Bolszeriecku łowców niedźwiedzi.

W nocy z 26 na 27 kwietnia 1771 r. spiskowcy rozbili obecnych na miejscu żołnierzy z garnizonu, a Beniowski udał się do komendanta, by go aresztować. Niłow jednak, uprzedzony o buncie, chwycił Beniowskiego za szalik i zaczął dusić. I zadusiłby, gdyby zesłaniec porucznik Panow nie strzelił komendantowi



Maurycy August Beniowski



Beniowski w zbroi

w głowę ze sztucera. Buntownicy w nocy zarekwirowali pieniądze z kancelarii komendanta, broń i amunicję, skóry i futra z magazynów. Gromadząc zapasy, Beniowski pozostawiał pokwitowania o rekwizycji, podpisując się jako „rezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej i szambelan Jej Imperatorskiej Wysokości Rzymskiej (tj. cesarzowej austriackiej), radca wojenny i regimentarz”. Miał więc fantazję! Następnego dnia buntownicy zakupili u kupców zapasy żywności, płacąc zrabowanymi pieniędzmi. Pochowali komendanta Niłowa zgodnie z prawosławną liturgią, ogłosiwszy, że przyczyną śmierci było pijaństwo, co nie zdziwiło obecnych, bo był z tego znany. Komendantem Bolszeriecka i całej Kamczatki ogłosili Beniowskiego. Przy okazji pogrzebu komendanta Beniowski przysięgł w cerkwi wierność carewiczowi Pawłowi i wyjaśnił, że bunt jest skierowany przeciw Katarzynie II. Dał do podpisania buntownikom pismo do Senatu, w którym zarzucił *imperaturcy* zabójstwo Piotra i usunięcie od władzy prawowitego następcy Pawła, a także rozpętanie wojny z Polską. Wysyłając takie pismo, celowo odciął sobie i innym drogę odwrotu. Buntownicy całe dobro z *ostroga* załadowali na 11 tratw, spłynęli nimi po rzece Bolszaja, a w przystani morskiej wsiedli na galeotę „Święty Piotr”, która tam zimowała skuta lodem.

Beniowski wraz z 70 ludźmi wypłynął w maju z ujścia rzeki, opłynął przylądek Łopatka i zamierzał żeglować na południe w kierunku Japonii, by tą drogą dostać się do Europy. Rosjanie z załogi zaprotestowali, żądając opłynięcia lądu krótszą drogą, a więc przez Ocean Arktyczny. Stracono na to kilka tygodni, bo za Cieśniną Beringa statek utknął w krach lodowych. Gdy statek wreszcie ruszył na południe, nastąpił kolejny bunt, podczas którego uciekinierzy włamali się do magazynu, popili się i zniszczyli część żywności. W wyniku tego zaczęły się dni głodu. Wreszcie statek trafił na niezamieszkałą wyspę. Znalaziono tam drzewa owocowe, źródlaną wodę, a nawet dzikie świny (była to prawdopodobnie jedna z japońskich wysp Izu). Uciekinierzy zażądali, by pozostać tam na stałe. Beniowski, jak wspominał w pamiętnikach, zastosował fortel: pochwalił pomysł, ale stwierdził, że za mało jest w grupie kobiet (tylko 7), trzeba więc udać się do Japonii i tam porwać kilkadziesiąt kobiet. Japonia okazała się krajem gościnnym, statek został dobrze zaopatrzony, a ludzie nakarmieni. Być może dzięki pismu o rzekomych przygotowaniach Rosji do wojny, jakie wymyślił i dostarczył Japończykom. Gdy statek wypłynął w morze, nikt już nie wspominał bezludnej wyspy. Statek przybijał jeszcze do brzegów Okinawy i Formozy (tam w potyczce z tubylcami zginęło od strzał 3 członków załogi).

W Makau we wrześniu 1771 r. Beniowski oczarował portugalskiego gubernatora, występując w mundurze zabitego komendanta i pokazując mu jako swój order Niłowa od Katarzyny II. Przedstawił się, że jest poddanym polskiego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Dzięki temu uzyskał pomoc. W Makau sprzedał skóry, futra, dzięki czemu załoga mogła odpocząć i najeść się do woli, a także zmienić odzież. Ale do podróżników dotarła wiadomość, że Beniowski sprzedał statek, który był ich pływającym domem. Wielu się zbuntowało, nawet Windbland. Głównym buntownikiem Beniowski załatwił u gubernatora areszt „do opamiętania”. Z powodu miejscowej epidemii szesnastu uciekinierów zmarło, kilku tam pozostało. Wszystkich, którzy chcieli podróżować z nim do Europy, Beniowski przewiózł chińskimi dżonkami do Kantonu, gdzie stały zamówione dwa francuskie statki, na które wsiedli.

Wypłynęli na początku 1772 r. Po drodze uciekinierzy zrobili postój na wyspie Mauritius, gdzie Beniowski rozmawiał z francuskim gubernatorem w Port Louis o planach kolonizacji pobliskiego Madagaskaru. Prawdopodobnie ta rozmowa określiła dalszy los poszukiwacza przygód.

W lipcu 1772 r. uciekinierzy, w liczbie 37 mężczyzn i 3 kobiety, przybyli do francuskiego portu, gdzie przyjęto ich gościnnie. Zakwaterowano, nakarmiono i dano wszystkim *po butelce wina dziennie*. W Paryżu 18 podróżników postanowiło wrócić do Rosji. Zwrócili się przez rosyjskiego posła do carycy z prośbą, a ona obiecała im przebaczenie i okazanie miłosierdzia, pod warunkiem, że zapomną o ucieczce. Większość z nich wróciła na Kamczatkę. To z nimi 20 lat później rozmawiał generał Józef Kopeć o brawurowej ucieczce Beniowskiego. Szwed Windbland wrócił do swego kraju.

W Paryżu Beniowski prowadził rozmowy z ministrem spraw zagranicznych i ministrem floty, tytułując się hrabią. Zaproponował skolonizować Wyspy Aleuckie, Kurylskie i Formozę, ale sugestia ta nie znalazła uznania u Francuzów. Ze swojej strony zaproponowali mu ekspedycję na Madagaskar, co przyjął. Objął dowództwo ochotniczego regimentu piechoty, w którym prócz Francuzów znalazło się 11 osób spośród uciekinierów, w tym Piotr Chruszczow. Minister floty zaakceptował wszystkie potrzeby ekspedycji przedstawione przez Beniowskiego, ale zaspokoić je miano nie we Francji, lecz dopiero po drodze, na Mauritiusie. Gdy zjawił się tam Beniowski ze swoim wojskiem, gubernator wyspy potraktował go nieprzychylnie. Stwierdził, że akcja Beniowskiego zakłóci handel jego wyspy z Madagaskarem. Jednak w wyniku targów załatwił statek, narzędzia i amunicję.

W lutym 1774 r. Beniowski z wojskiem, liczącym 237 żołnierzy i 21 oficerów, wpłynął do zatoki Anton-gila na Madagaskarze. Przyjęty został wrogo. By przeciwstawić się napadom Malgaszów, zbudował fort nazwany Louisbourgiem. Zaprosił do fortu wodzów plemiennych i oświadczył im, że Francuzi chcą z nimi żyć w pokoju i handlować, liczą na ich opiekę i sprzedaż zajętej już ziemi. Zyskał zwolenników. Po pewnym czasie potrafił ich sobie podporządkować. Przychylnych sobie wodzów przekonał, że powinni go wybrać wodzem wodzów (tzn. królem). Tak się stało w październiku 1776 r. By objaśnić ludziom ten wybór, stworzono legendę, że córka ostatniego króla z rodu Ramini została pochwycona przez białych i urodziła syna, którym jest Beniowski. W porcie Louisbourg coraz częściej cumowały zagraniczne statki handlowe. Ale wzbudziło to zawiść gubernatora Mauritiusa. Przyjechała kontrola z Paryża, skończyło się finansowanie z Francji. Król Madagaskaru musiał porzucić poddanych i wrócić do Francji, także z powodu epidemii, w której zmarła większość Europejczyków na wyspie.

W Paryżu wytłumaczył się z błędów i porażek, przedłożył nawet nowe propozycje dotyczące wykorzystania wyspy, lecz nie znalazły one uznania na dworze królewskim. Ale Ludwik XVI odwdzieczył się Beniowskiemu nadaniem tytułu hrabiowskiego, mianowaniem na stopień generała brygady i wręczeniem orderu św. Ludwika. Beniowski zapoznał się w Paryżu z amerykańskim posłem Benjaminem Franklinem, przyszłym prezydentem USA. Podobno grywał z nim w szachy, stąd znany wśród szachistów *mat Beniowskiego*.

Gdy w Europie zaczęła się wojna o bawarskie ziemie, Beniowski włączył się w walki po stronie austriackiej (1778). Cesarzowa Maria Teresa nadała mu wówczas austriacki tytuł hrabiego. Wrócił następnie do swojej posiadłości w Bencowskiej Wiosce. Gdy usłyszał o amerykańskiej wojnie o niepodległość, popłynął do Ameryki, by walczyć pod komendą Kazimierza Pułaskiego. Po śmierci wodza (1779) wrócił do kraju. Nowemu cesarzowi Austrii Józefowi II przedstawił projekt kolonizacji Madagaskaru, ale zabrakło pieniędzy na realizację. Beniowski pojechał więc do Londynu (1783), gdzie znalazł zwolennika w osobie Johna de Magellana – potomka słynnego żeglarza. Razem popłynęli do Ameryki i powołali konsorcjum brytyjsko-amerykańskie do gospodarczego wykorzystania Madagaskaru. Realizatorem koncepcji został Beniowski. Wyruszył z niewielkim 20-osobowym oddziałem wojskowym na amerykańskim statku handlowym.

Do wyspy dotarł w czerwcu 1785 r. Przystąpił do odbudowy fortu Louisbourg, rozmów z malgaskimi wodzami, szukania partnerów handlowych. Założył nowe miasto, które od swego imienia nazwał Maurycją. Ale teraz Beniowski był przedstawicielem obcych państw, konkurentem dla francuskiego gubernatora rezydującego na Mauritiusie. Francuski oddział wojskowy skierowany przeciw Beniowskiemu 23 maja 1786 r. zacumował obok fortu, przypuścił atak. Kula trafiła tylko Beniowskiego, innych ofiar nie było. Pochowano go na Madagaskarze przy grobach dwóch Rosjan, którzy towarzyszyli mu aż z Kamczatki.

Beniowski napisał pamiętniki ze swojego burzliwego życia. Ich tytuł, jak to było wówczas w modzie, był bardzo długi: *Memuary i podróże Maurycyego Augusta hrabiego Beniowskiego, składające się z jego wojennych działań w Polsce, jego zsyłki na Kamczatkę, jego ucieczki i podróży z tego półwyspu przez północny Ocean Spokojny, Japonię i Formozę do Kantonu w Chinach, urzędzenia się we Francji i organizacji ekspedycji na wyspę Madagaskar*. Dzięki Magellanowi książka wyszła drukiem po angielsku w Londynie w 1790 r. Wkrótce ukazały się wydania w innych językach: po niemiecku, francusku, holendersku, szwedzku i słowacku, także po polsku w 1797 r. Na tej podstawie powstała romantyczna opera Austriaka Alberta Dopplera, a później Anglika Charlesa Horna. Pisał o nim też Juliusz Słowacki w poemacie *Beniowski*. W Antananarywie, stolicy Madagaskaru, jedna z ulic nosi jego imię.

Beniowski zapisał się w dziejach jako polski podróżnik pochodzenia słowacko-węgierskiego, powstaniec i zesłaniec, przywódca obdarzony niezwykłą fantazją, ale i działający z ogromną konsekwencją. Beniowskiego ciągnęła na Madagaskar nie tylko ambicja i żądza władzy, ale też idea stworzenia tam idealnego państwa. Znajdował się on bowiem pod wpływem popularnych wówczas socjalno-utopijnych teorii Thomasa More'a czy Tammaso Campanello. Chciał stworzyć *państwo słońca* i rozpocząć *złoty wiek*.

Janusz Fuksa

Stanisław Noakowski (1867-1928)

Zdarzają się wielu rodzicom nietypowe miejsca urodzin potomstwa. Osobliwe i liczne takie zaskakujące wydarzenia zanotowano w samolotach, pociągach, taksówkach, kościołach, dworcach kolejowych. W tym przypadku nietypowy poród zdarzył się 26 marca 1867 roku **Eleonorze z Sandomierskich i Władysławowi Noakowskiemu** pochodzącemu z Suwalszczyzny (herbu Lis), który po powstaniu styczniowym i śmierci pierwszej żony został w **Nieszawie** rejentem okręgu radziejowskiego. Stało się to na ... plebanii niemal w cieniu gotyckiego kościoła farnego z XV wieku w kujawskim miasteczku Nieszawa kilkaset metrów od 704 kilometra nurtu szerokiej Wisły. Na świat pospieszył ich drugi syn, któremu dano na imię Stanisław.

Dzisiejszy adres parafii – ul. Noakowskiego 13, a niewiele ponad dwieście metrów opodal, w dawnej siedzibie urzędu notarialnego, gdzie było mieszkanie rodziny Noakowskich, w starannie odnowionym budynku jest obecnie Muzeum Stanisława Noakowskiego – Oddział Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej we Włocławku przy ul. Mickiewicza 6. To znane miejsce wystaw artystycznych, głównie prac plastycznych, nie tylko lokalnych twórców i pamiątek po wybitnym obywatelu nieszawskim.

Ojciec Stanisława miał talent i dorobek pisarski, znany był jako tłumacz autorów francuskich i angielskich, również udanie rysował z natury podobnie jak starszy z jego synów. Stanisław pierwsze lekcje rysunków pobierał we Włocławku od Ludwika Boucharda – spolszczonego francuskiego oficera, nauczyciela, malarza i pisarza. Po dwuletniej nauce w gimnazjum w Łowiczu studiował przez 10 lat architekturę w Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu. O jego talencie i nabytych umiejętnościach świadczy zatrudnienie w 1906 roku na stanowisku profesora w Moskiewskiej Szkole Malarstwa, Rzeźby i Architektury. Uznaniem dla jego mistrzostwa i troski o zabytki było członkostwo w Moskiewskim Kolegium Artystycznym i powierzenie roli prezesa Towarzystwa Opieki nad Polskimi Zabytkami w Moskwie. W 1915 roku został członkiem Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu.

Do rodzinnego kraju Stanisław Noakowski wrócił 25 października 1918 roku – jak wielu innych ludzi sztuki, inżynierów i wojskowych. Początkowo uczył historii sztuki na Wyższych Kursach dla Nauczycieli. Bardzo szybko został mianowany profesorem w swojej specjalności i zasłużył sobie na miano wizjonera polskiej architektury. Był przez wiele lat wykładowcą historii architektury nowożytnej – jako profesor od początku października 1919 roku – i jako dziekan rozświetlił Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej. A kilkanaście dni później otwierał Wydział Architektury Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Rychło został członkiem sądu konkursowego dla budowy nowoczesnego gmachu Muzeum Narodowego w Warszawie.

Jak podkreśla z dumą Ryszard Lewandowski – pieczołowity kustosz i kierownik Muzeum Noakowskiego w Nieszawie: – *Jego dorobek twórczy liczony jest w tysiącach rysunków utrwalających jego ogląd polskiej i europejskiej architektury. Były to zarówno budowle jemu współczesne, starożytne i zabytkowe, a więc zamki, pałace, osobliwe kamienice, liczne kaplice i kościoły, ich portale i drzwi, okazałe grobowce, dworki „gdzieś w kraju”, chałupy Nie unika odtwarzania ich wnętrza i detali wystroju. Był mistrzem szkiców węglem, ołówkiem z natury i kredą na tablicach podczas wykładów, co zapamiętali i – niestety, w niewielu przypadkach – utrwalili na fotografiach jego uczniowie. Umiejętnie posługiwał się techniką akwareli. Ale zajmowało go także projektowanie ... klocek z drewna do dziecięcych zabaw w budowniczego.*

Nieszawskie Muzeum im. Noakowskiego jest jednym z około 60 muzeów biograficznych kultywujących pamięć i twórczość artystów – najczęściej pisarzy, malarzy, rzeźbiarzy, poetów, muzyków, a nawet twórców dzieł z ... wikliny. To nieszawskie należy do zaledwie kilku poświęconych architektowi lub rzeźbiarzowi. Sławi swego wybitnego nadwiślańskiego rodaka i chlubi się depozytem Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej w postaci gipsowej maski pośmiertnej i odlewu prawej dłoni artysty, a także laską używaną przez sędziwego mistrza. W zbiorach tej placówki zgromadzone są bezcenne szklane negatywowe klisze fotograficzne z utrwalonymi rysunkami z wykładów Noakowskiego, a także zbiór fotografii i druków dokumentujących różne wydarzenia związane z jego postacią i działalnością artystyczną. Unikatowy dokument rodzinny to drzewo genealogiczne Noakowskich. Zbiory Muzeum w Nieszawie wzbogaca wyposażenie w stylowe meble ku pamięci kancelarii notarialnej jego ojca – Władysława Noakowskiego, m.in. biurko, krzesła i kałamarze, a poza budynkiem na cmentarzu parafialnym jest skromny kamienny grobowiec rodzinny, w którym spoczywają rodzice Stanisława – Eleonora (1838-1909) i Władysław (1826-1879).

W nieszawskim muzeum jest nieliczny, ale godny podziwu i zapamiętania zbiór prac Noakowskiego. To zaledwie 64 dzieła z lat 1890-1927, ale najliczniejsze pochodzą z czasu tuż przed i zaraz po powrocie z Petersburga do Polski. Mistrz utrwaliał obiekty polskiej architektury, zaprojektował epitafia- płyty na grobowce biskupów w katedrze we Włocławku. W 1911 roku nie przyjął propozycji profesury w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Odbywał liczne podróże artystyczne i krajoznawcze po kilku krajach europejskich, a w 1915 roku został członkiem Cesarzowskiej Akademii Sztuk Pięknych w Rosji, zaś w 1918 roku członkiem Kolegium Artystycznego przy Oddziale Sztuk Przedstawiających [Rewolucyjnego] Ludowego Komitetu Oświaty.

Stanisław Noakowski, jak to było w jego czasach możliwe, konieczne i owocujące wiedzą i licznymi doznaniem artystycznymi widocznymi potem w jego twórczości, poznawał podczas podróży większość krajów

europejskich, szczególnie Włochy, Grecję, Francję, także Wystawę Światową w Paryżu (1889), Czechy, Austrię, Niemcy, Szwecję, Danię, Finlandię, Norwegię, wypoczywał w Karlovych Varach (Karlsbadzie), podróżował po krajach Wielkiej Rosji. W 1907 roku objął stanowisko kustosa Muzeum Stroganowskiego Przemysłu Artystycznego, oraz inspektora szkoły tego samego imienia. Kształciła ona od XV wieku mistrzów malarstwa ikonowego, miniaturowego i tkaniny liturgicznej. W 1904 roku wyróżniono Noakowskiego Orderem Świętej Anny III klasy, a po mianowaniu radcą stanu w 1907 roku przyjął rosyjski Order Świętego Stanisława.

Nieszawskie muzeum biograficzne w swoisty sposób kontynuuje dzieło swego patrona. W publikacji o Noakowskim z 2017 roku jej autorka Krystyna Kotula w szczegółowym kalendarium wymienia pieczołowicie wystawy prac Noakowskiego, Pierwszą przygotowano w 1890 roku w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie przy pl. Małachowskiego. W 1908 roku wystawia swoje prace w Petersburgu, w 1919 i 1921 w Paryżu i Warszawie, w 1920 we Lwowie, w 1922 w Londynie, w 1924 ponownie w Warszawie, a w 1925 pokazuje swoje akwarele w Zachęcie, w styczniu 1928 na trzy miesiące przed śmiercią publikuje album *Zamki i pałace polskie i budownictwo polskie*. Wielka wystawa pośmiertna ukazuje 239 prac w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych. W 1923 roku zostaje wyróżniony jako jeden z nielicznych Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, zgodnie z nowym statutem orderu ustanowionym przez prezydenta Stanisława Wojciechowskiego.

Noakowski w swoim czasie uznawany był wśród nauczycieli akademickich za geniusza rysunku pogładowego. Uczył przez rysowanie przykładów ilustrujących jego wiedzę i poglądy na sztukę i obiekt architektoniczny. Po powrocie do Polski w październiku 1918 roku poświęca się nauczaniu historii sztuki w Szkole Sztuk Pięknych i na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, w tej uczelni był profesorem, a niebawem dziekanem macierzy tego Wydziału Architektury. Jego wykonywane kredą na tablicach szkice detali i całych budowli budziły podziw i sprzyjały popularności wykładów. Wiele razy publikował swoje poglądy i wiedzę o sztuce, architekturze, kulturze. Do rzadkich zdarzeń należą jego projekty zmaterializowane w formie budynków, Dołożył swoją „cegiele” do stylowej zabudowy willowej podwarszawskiego Konstancina – budynkiem znanym jako willa „Stamary”.

Ta unikatowa budowla zaprojektowana przez Noakowskiego, a zbudowana po jego śmierci w mazowieckim uzdrowisku-mieście ogrodzie Konstancinie przy ul. Potulickich 42 dla małżeństwa Marii i Stanisława **Rylów** po 1945 roku należała do Urzędu Rady Ministrów, a potem zamieszkiwał w niej Władysław Gomułka i miało siedzibę Towarzystwo Przyjaciół Konstancina. Willa jest od 1989 roku wpisana do rejestru zabytków. Jednak jego pierwsze projekty powstały w Rosji – nagrodzony w 1890 roku za pałac myśliwski dla księcia Konstantego, w 1892 za projekt teatru w parku, w 1893 za projekt hotelu, 1894 za projekt stajni cesarskich, w 1902 dostaje nagrodę za projekt pałacyku dla księcia Wołkońskiego,

Wśród wielu dzieł tego twórcy wyróżniają się projekty: kaplicy w Rapperswilu (Szwajcaria), teka rysunków *Suita polska*, seria panoram Wzgórza Wawelskiego w Krakowie, projekt rekonstrukcji sal w Belwederze (Warszawa), seria monumentalnych **Bram Wolności**, nagrobki biskupów kujawskich w katedrze (Włocławek), Pośmiertne dowody uznania dla Noakowskiego przybierają formę licznych wystaw, poczynając od 1930 roku w Ciechocinku, w 1931 we Włocławku, w 1933 na plebanii w Nieszawie, a w 1934 powstaje w jego rodzinnym miasteczku muzeum jego imienia, początkowo w budynku stylowej plebanii – miejscu urodzenia.

Kult artysty już jesienią 1945 roku ma postać wystawy w Tarnowie, a w 1947 w Warszawie, w 1951 we Włocławku, w 1958 w Łowiczu, w 1960 w Nieszawie i tak niemal co roku kolejna wystawa w Bydgoszczy, Łodzi, Łowiczu, Lublinie, Moskwie, Leningradzie, w Muzeum Narodowym w Warszawie. W 1938 r. księgę pamiątkową *Noakowskiemu* – Łowicz wydało Koło Wychowawców Szkół Łowickich, Oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego i Związek Popierania Turystyki Ziemi Łowickiej. Na frontowej ścianie Gimnazjum w Łowiczu jest tablica pamiątkowa ku pamięci Noakowskiego. W centrum Łowicza jest Osiedle Mieszkaniowe im. Stanisława Noakowskiego. Rzeźba głowy Noakowskiego – z cyklu **Oblicza** wybitnego twórcy Alfonsa Karnego (1901-1989) – znajduje się w zbiorach Muzeum Archidiecezji Warszawskiej.

Oprócz Muzeum w Nieszawie Noakowski upamiętniony jest nazwami ulic w Nieszawie, Bydgoszczy, Częstochowie, Gdańsku, Gliwicach, Józefowie, Olstrowi Mazowieckiej, Piastowie, Szczecinie, Warszawie, Włocławku, Wrocławiu. *W latach 1984-2017 wystawy prac Noakowskiego, obchody jubileuszowe, odsłonięcia tablic pamiątkowych odbywają się dzięki staraniom i we wnętrzach Muzeum Noakowskiego w rodzinnej Nieszawie* – podkreśla jego kustosz i kierownik Ryszard Lewandowski, który spełnia troskliwie swoją rolę od wielu lat już jako emeryt. Ta niewielka placówka kulturalna dba o swego patrona i rodaka nieszawskiego z godną uznania i podziwu starannością.

Tomasz Kowalik



**Warszawa – grób Noakowskiego
na cmentarzu Powązkowskim
– IV brama, kwatery 233.
Fot. Bogumił R. Korzeniewski**

Mapa prawdę ci powie... ale nie zawsze

Jako że jestem zwolennikiem zwykłych papierowych map i nie używam elektronicznych gadżetów, głoszę często pochwałę tych tradycyjnych. Życie uczy, że nie należy wielbić ich bezkrytycznie, o czym przekonałem się na ostatnim narciarskim wypadzie w Beskid Żywiecki. Na ostatni dzień zaplanowałem powrót ze schroniska na Lipowskiej do stacji kolejowej w Rajczy. **Wedle mapy** czas potrzebny do pokonania trasy wynosił **dwie godziny i czterdzieści minut**. Jako że musiałem zdążyć na pociąg do Katowic (który zresztą o czasie nie przyjechał), ów czas wydawał się niedługi, zwłaszcza, że sporą część trasy mogłem pokonać na nartach i choć niezbyt szybko (bo to ślądówki), to jednak liczyłem na krótszy czas przejścia. Tymczasem na „szlakowskazię” przy schronisku można przeczytać **Rajcza PKP 3h15min**. No, różnica spora: tu 2.40, tam 3.15 co daje 35 minut. I komu tu wierzyć? Przecież przez 35 minut można przejść na płaskim 2 kilometry.

W rzeczywistości przejście zajęło mi równe trzy godziny, w tym netto 2.50 i 10 minut przerwy na zmianę butów i spakowanie nart, przy czym prawie połowę drogi przebyłem na nartach, „zarabiając” trochę czasu. Spory kawałek za Halą Redykalną musiałem „przebrać się” na zwy-



Rajcza PKP 3h 15min

kle buty, bo śnieg owszem był, ale wystawały kamienie i jazda nie była już możliwa.

Wniosek. Przy planowaniu wędrowki czy pojedynczej wycieczki warto porównać różne źródła informacji, czasy przejścia na różnych mapach i dla pewności przyjąć czasy najdłuższe. Wydaje się, że poprawne czasy przejść są w kalkulatorze przejść internetowej mapy-turystycznej.pl. W każdym razie do niektórych informacji podchodzimy z rezerwą i sprawdzamy je w różnych źródłach.

Juliusz Wyslouch

Autor w rejonie Lodowej Przełęczy

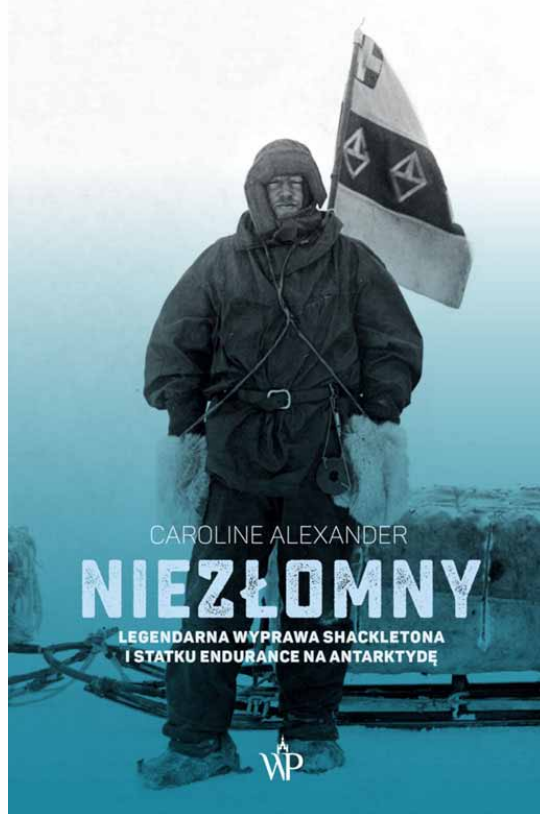
Nowość Wydawnictwa Poznańskiego

Niezlomny. Legendarna wyprawa Shackletona i statku Endurance na Antarktydę. Autor: Caroline Alexander. Przekład: Adrian Tomczyk. Data premiery: 2021-03-23. Liczba stron: 360. Oprawa: twarda. ISBN: 9788366657809

Szefie, mam już dość żarcia kłaków renifera, zaraz będę miał od tego w środku kule włochate niczym koźle jaja. Dajmy to szyprowi i McCarthy'emu. I tak z reguły nie mają pojęcia, co wsuwają. Tak brzmiały słowa Creana – drugiego oficera statku Endurance – skierowane do sir Ernesta Shackletona podczas dramatycznej wyprawy na Antarktydę, w czasie której jego statek został uwięziony przez lód, następnie zmiażdżony, a załoga zmuszona do półtorarocznej tułaczki po bezludnej wyspie.

Próżno szukać większej determinacji i próby charakteru niż u dowódcy tej ekspedycji – Ernesta Shackletona oraz członków jego załogi. Wyprawa, choć nieudana, została zapamiętana jako jedna z najwspanialszych w dziejach. Gdy statek został uwięziony przez lód, legendarny odkrywca podjął brawurową próbę ratowania swojej załogi. Wraz z pięcioma ludźmi przepłynął zwykłą szalupą 1200 km po otwartym oceanie, dopłynął na Georgię Południową, a następnie bez chwili odpoczynku podjął heroiczny trzydziestosześciodzinny marsz przez potężny masyw górski, aby sprowadzić ratunek.

Angielski panteon bohaterów mógł pomieścić tylko jednego wielkiego badacza polarnego – Roberta Scotta – skazanego na klęskę młodości, który zginął, przynosząc honor swojemu krajowi. I choć Shackleton nie zdobył w Anglii uznania, jakim cieszył się Scott, to właśnie jego historia może inspirować kolejne pokolenia.



NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r. Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta: **Zofia Wiatrak**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wyslouch, Krzysztof Tęcza, Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa, Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Piłk, Jacek Mielcarek, Sebastian Jakobsch, Mirosław J. Barański



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgodnionych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.